

# DZIS I JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V Warszawa, 30 październik 1949 r. Nr 43 (205)

### Postawa odpowiedzialności świadomej i czynnej

„W stosunku do żadnego z problemów, jakie stoją przed światem współczesnym — świecki nie ma prawa stwierdzić: to mnie nie dotyczy, gdyż jest hierarchia, by się tym zajęła. Jeśli należy do odpowiedzialnej władzy, by podejmować ostateczne decyzje, o tyle o ile uważa to ona za celowe — jest obowiązkiem wszystkich wierzących odnosić się do tych spraw tak jak swych spraw najbliższych. Jeśli ich w ten sposób nie odczuwają, oznacza to, iż nie żyją integralnie po chrześcijańsku, nie przyswoili się jeszcze całkowicie Kościołowi, pozostają częściowo obcy jego Ciału”.

O. Y. de Montcheuil  
„Aspects de l'Église”

Okres w którym żyjemy charakteryzuje się tym, iż niemalże jednocześnie, w dwóch różnych płaszczyznach społecznych, dwie wielkie siły twórcze osiągnęły swój „wiek dojrzałości” — w świecie społeczno - politycznym klasa robotnicza w świecie społeczno - religijnym — stan świecki. Jakkolwiek najzupełniej inna w treści i w formie jest społeczność państwowa, w której działa klasa robotnicza, a inna jest społeczność kościelna, w której swe miejsce zajmuje laikat — pewne konsekwencje okazały się zbliżone. Baza społeczna państwa, tak jak i baza społeczna religii powiększyły się tysiąckrotnie, masy zdynamizowały rytm rozwoju tych społeczności, wdarły się ze swym pewnego rodzaju dyletancizmem w dziedzinę twórczości, zagwarantowane dotychczas ściśle określonym, wyspecjalizowanym elitom. Wniosły one dzięki temu niewątpliwie pewien chaos w świat uporządkowanych reguł i formuł, wniosły jednak obojętne tego niezwykle dużo nowej, twórczej i ożywczej myśli. poszerzyły problematykę, zmioły w zasięgu swego działania mnóstwo zastarzałych i niepotrzebnych już dziś przyzwyczajęń i frazesów. Zarówno życie społeczne, jak i życie religijne pogłębiło się znacznie dzięki temu, jakkolwiek nie uniknęło kryzysów, związanych z nieładem, jaki musiała wywołać tak gwałtowna i nieuporządkowana w swym pierwszym etapie działalność.

Kościół Katolicki, oparty o niewzruszalną zasadę nauki Chrystusowej, zwarty w swej wewnętrznej strukturze, aktami swych najwyższych autorytetów, dawał niejednokrotnie wyraz swemu zasadniczo pozytywnemu - ustosunkowaniu się do procesu dojrzenia poczucia odpowiedzialności i woli czynu mas świeckich w Kościele. Jeśli czasem tę energię hamował, to nie przez wzgląd na merytoryczne zastrzeżenia, lecz raczej w trosce, by zbyt szybki proces dojrzenia nie powodował zbyt ostrych kryzysów i wewnętrznych konfliktów w prak-

tycznej działalności poszczególnych organizmów, nie przystosowanych jeszcze do nowych, radykalnie zmienionych form działania.

\*\*

Proces dojrzenia stanu świeckiego i intensyfikowania się jego roli w Kościele nie zamknął się jednak w ściśle wewnętrznym - kościelnym problemie potrzeby ponownego przemyslenia właściwych form współpracy świeckich z duchowieństwem i ich biskupami w zakresie działalności religijnej. Wzmocnienie się aktywności świeckich w Kościele z konieczności rzeczy musiało znaleźć swe odbicie w uaktywnieniu się, wicznie zresztą czynnego i skomplikowanego problemu wzajemnych stosunków religii i polityki, doczesnego i pozadoczesnego, Kościoła i Państwa. Był okres czasu, gdy udział czynnika duchownego w życiu publicznym był znacznie większy, nie tylko merytorycznie, lecz nawet liczbowo, od udziału świeckich.

Dzisiaj stosunek ten przedstawia się wręcz odwrotnie. Zwiększenie się więc udziału świeckich w życiu Kościoła nie mogło nie postawić na porządku dziennym zagadnienia wzajemnego stosunku między ich działalnością religijną, a ich działalnością polityczną. Jedno i drugie stawało się łatwo częścią życia publicznego, poglądy religijne zachodziły niezmiernie często na poglądy polityczne i odwrotnie. Zjawisko to wzmaga się niesłychanie w drugiej połowie dziewiętnastego wieku, potęguje się jeszcze bardziej w dwudziestym, dziś staje się, w życiu nie jednej społeczności katolickiej najdrażliwszym problemem chwili. Abstrahujemy w tych rozważaniach od faktu istnienia w tym zakresie pewnych bardzo szkodliwych tendencji skrajnych — klerikalizmu, dążącego do przyznawania duchowieństwu uprawnień i przywilejów nieczym w życiu publicznym nie umotywowanych, liberalizmu, odcinającego całkowicie katolicyzm od życia społecznego. W ramach poglądów umiarkowanych i rozsądnych istnieją jeszcze bardzo duże rozbieżności, nawet konflikty w ocenie zakresu wolnej inicjatywy świeckich i zakresu interwencji autorytetu religijnego w sprawę życia publicznego.

Celowo też pomijamy w naszych rozważaniach istotny niewątpliwie problem zakresu inicjatywy świeckich w problematyce religijnej, w wewnętrznym życiu Kościoła, który znajduje i znajduje w dalszym ciągu wiele zainteresowania ze strony wszystkich kompetentnych czynników katolickich. Pragniemy natomiast przeanalizować szczegółowiej i w jego aktualnych aspektach zagadnienie zachodzenia na siebie obowiązków religijnego po-

śluszeństwa i swobody politycznego zajmowania stanowiska.

Dziedzina to wyjątkowo drażliwa, przez wzgląd na to, że wszystkie ludzkie pasje i ambicje się tu krzyżują, że zarówno ze strony katolickiej, jak i ze strony politycznej, często się zdarza iż biorą one górę nad obiektywną racją. Zasady są jednak całkowicie jasne. Katolik uznaje fakt istnienia obiektywnego porządku ziemskiego, zgodnego z wolą Bożą. Katolik uznaje moc urzędu nauczycielskiego Kościoła u-  
prawionego do autorytatywnego oceniania, czy dany porządek rzeczy, tworzony każdorazowo przez ludzki wysiłek jest zgodny, bliższy czy dalszy Bożym zaleceniom. Jest przeto wyłącznym prawem Kościoła, w Jego hierarchicznym porządku, stwierdzać w jakiej mierze rozwój doczesnych form życia ma stanowić przedmiot Jego zainteresowań. Jego poleceń. Nie istnieje dla katolika możliwość mechanicznego rozgraniczania pojęć „civitas Dei” i „civitas humana”, nie istnieje możliwość apriorystycznego ograniczania kompetencji Kościoła w sprawach ludzkich, tak indywidualnych jak i publicznych.

Nie mniej przeprowadzanie takiego rozgraniczenia jest stałą koniecznością, przez wzgląd na fakt, iż wszelkie powstałe na tym odcinku nieporozumienia odbijają się jak najbardziej fatalnie na najistotniejszych sprawach Kościoła, na rozwoju religii. Przez wzgląd właśnie na dobro Kościoła, na dobro życia religijnego — przypada Jego hierarchii niezwykle trudny i odpowiedzialny obowiązek stałego odgraniczania życia religijnego od balastu spraw świeckich, czuwania nad tym, by względy ludzkie i przyziemne ambicje nie obciążały niepotrzebnie myśli katolickiej sprawami dla niej drugorzędnej natury. Dążenie do zmniejszenia do koniecznego minimum ingerencji czynnika kościelnego w problematykę świecką jest przeto najlepszym dowodem wewnętrznej dojrzałości i pogłębienia własnej postawy religijnej ze strony stanu duchownego. Zwiększania zakresu inicjatywy i zwiększanie poczucia odpowiedzialności za życie publiczne ze strony katolickiego czynnika świeckiego — jest bezprzecznym dowodem pogłębienia się „sensus catholicus” w życiu społecznym.

\*\*

Autonomia problematyki politycznej w stosunku do problematyki religijnej nie jest więc wynikiem jakiegoś mechanicznego kresu kompetencji Kościoła w sprawach ludzkich, lecz jest wyrazem potrzeby i pożytku wynikającego z faktu, że z problematyką tą porać się będą katolicy na własną odpowiedzialność, a nie autorytatywna organizacja Kościoła.

Ten obiektywny stan rzeczy, wynikający z samego ducha katolicyzmu w niczym jednak nie zmienia faktu, że tendencja świecka do przejmowania coraz to szerszego kręgu odpowiedzialności i inicjatywy wyrasta oddolnie, od mas chrześcijańskich i żywiołowo przelewa się ponad formalno - tradycyjnymi ramami, jakie stworzyła praktyka poprzedniego okresu. Pewna skłonność do konserwatywnego w zakresie form organizacyjnych, przejawiająca się charakterystycznie w środowiskach katolickich powoduje, że od czasu do czasu powstają tam, na tle emancypacji czynnika świeckiego stany mniej czy bardziej jawnych konfliktów. Nauczeni wiekową mądrością doświadczeń Kościoła, czołowi współcześni myśliciele katolicyści przestrzegają przed nadużywaniem autorytetów religijnych w rozładowywaniu tych spięć. Zwraca na ten stan rzeczy uwagę katolików w sposób najbardziej kategoryczny czołowy współczesny teolog francuski, Dominikanin O. Yves Congar, znany już czytelnikom „Dzisiaj i Jutro”, dzięki drukowanej na naszych łamach rozprawie „Świętość i grzech w Kościele”.

„Jeśli świeccy (poza pewnymi konkretnymi wypadkami), nie mają dziś w istocie żadnego udziału w ściśle hierarchicznej władzy rządzenia Kościołem, to posiadają oni nie mniej oczywiste prawo oczekiwania, że głos ich będzie szanowany w Kościele. Czynieć tak, jak gdyby oni w ogóle nie istnieli, traktować ich stale jak dzieci, którzy nie mają prawa głosu przy starszych i o których zachowaniu decyduje się autorytatywnie i bez nich — to narażać się, że uczyni się świeckich absolutnie biernymi, co wcześniej czy później wywoła zniechęcenie i zubożenie, czy też, co groźniejsze, doprowadzi się ich do wyłamywania się z dyscypliny, wywoła się akty buntu! W istocie gwałtowność i ostrość niektórych świeckich wystąpień wynika w dużej mierze ze stanu myśli i uczuć, pozostających zbyt długo w ukryciu i bez widoków na przyszłość... Księża, którzy przeczytają te uwagi, sami najlepiej ocenią ile w nich się kryje prawdy”.

Jeśli ten problem jest aż tak poważny, gdy występuje w płaszczyźnie wewnętrznie - katolickiej problematyki, może się stawać wręcz drastyczny gdy wkracza w zakres problematyki ściśle politycznej. Tu bowiem mentalność współczesna wykształciła mocne poczucie praw i obowiązków obywatelskich, uczyniła ten zakres zagadnień bliższym i pasjonującym i tu współczesny katolik oczekuje raczej po mocnej rady niż poleceń czy zakazów. W świadomości wszystkich odpowiedzialnych katolików — takie autorytatywne zajęcie stanowi-

ska przez Kościół w sprawach politycznych, może być tylko wyrazem ostatecznej, najwyższej konieczności.

Były w historii ostatniego okresu precedensy autorytatywnych poleceń niewykonanych przez dobrych, szczerych katolików. Wybitny, choć konserwatywny działacz społeczny katolicki francuski — La Tour du Pin odmówił kategorycznie podporządkowania się poleceniu „Ralliement” katolików francuskich ze sprawą republikańską. Przywódca „Centrum” niemieckiego Windthorst odmówił wykonania zaleceń w sprawie zmiany polityki w stosunku do rządów Bismarcka. Cytujemy tu tylko przykłady w stopniu najwyższej ważności, gdy w imię własnej, chrześcijańskiej odpowiedzialności, ludzie którzy nie byli warchołami, czuli się zmuszeni do przeciwstawienia się autorytetowi papieskiemu. Takich przykładów na szczeblach niższych jest znacznie więcej. W każdym konkretnym wypadku ostateczną ocenę słuszności zajętą stanowiska można było wydać dopiero w perspektywie historycznej. Były rzecz oczywista, dodajmy to dla rzetelności obrazu, wypadki, gdy autorytet Kościoła wymagał zastosowania najostrożniejszych sankcji jak w wypadku Lamennais, czy też gdy dzielące katolików uginali się przed wolą Hierarchii, jak to uczynił przywódca Sillon — Marc Sangnier. W każdym jednak z takich wypadków, z wyjątkiem tych gdy spór przynosił się w płaszczyźnie ściśle religijnej — sąd historii stawał się również dopiero ostatecznym zamknięciem sprawy.

Jakkolwiek był przebieg konfliktu, po czyjej stronie ostatecznie okazywała się słuszność, (a w tym zakresie Hierarchia Kościoła nie występowała „ex cathedra”), cierpiał na tym konflikcie autorytet sprawy katolickiej, a wstrząs wywołany takim kryzysem pozostawiał głębokie ślady w katolickich społecznościach. Katolik, jakkolwiek byłoby jego miejsce w hierarchii Kościoła, wczuwając się w dzieje Kościoła i we własną zaś odpowiedzialność — ma obowiązek uczynić wszystko, by takich kryzysów uniknąć.

\*\*

Problem ten wprowadzamy na łamy naszego pisma nie po to, by się niepokój w chrześcijańskich umysłach w czasach, wymagających od nich dużej dojrzałości i wewnętrznej spójności. Nie wprowadzamy go też z poczuciem, by miał on dziś w Polsce większą aktualność, niż gdzie indziej czy kiedy indziej. Nie mniej poruszamy go w poczuciu jego aktualności w umysłach wielu dzisiejszych katolików,

DM 159/052



Problem samodzielności stanowiska katolików świeckich w sprawach nie związanych bezpośrednio z misją Kościoła rodzi bowiem za gadnienie drugie — rozbieżności w poglądach świeckich katolików. Rzecz oczywista istniały zawsze rozbieżności w poglądach katolików nawet na sprawy ściśle religijnej natury. Nie wkraczając w dziedzinę herezji — iluz merytorycznych sporów były świadkiem sobory, ileż atramentu w dyskusjach wyleli teologowie katolicy! Takie rozbieżności były jednak w epoce nowożytnej zrozumiałe tylko pewnej katolickiej elicie, a z drugiej strony czuwał nad nimi zawsze najwyższy autorytet Kościoła, gotów do interwencji, gdyby spór przybierał zbyt szerokie rozmiary.

Rozbieżności między katolikami w sprawach świeckich, będąc jedną kowu często na porządku dziennym łatwiej jednak wzbudzają namiętności, polemiki łatwiej dochodzą do diapazonu, rzadziej natomiast i mniej autorytatywnie interweniują w nich autorytet Kościoła. Zaś świeccy lubią się w takim wypadku bezzasadnie odwoływać do tegoż autorytetu tym częściej im mniej dojrzałe i głęboko pojmują swą rolę w Kościele.

Mamy pełną świadomość tego, że głoszone poglądy powodują pewne rozdziewki w opinii katolickiej w Polsce. Nie powodujemy ich tam, gdzie nauka Kościoła na różnice poglądów nie pozwala. Nie powodujemy ich też w taki sposób, który by mógł sprawie katolickiej zaszkodzić. Przeciwnie, przez konani jesteśmy najgłębiej, że spory w tej płaszczyźnie, w jakiej my ją prowadzimy są w istocie jak najbardziej pozytywne. Nie mniej świadomi jesteśmy też tego, że w umysłach niektórych, prymitywnie myślących katolików postawa budząca dyskusję może być przedmiotem zgorszenia, zaś dla innych (lecz tu występuje zła wola) wywołuje podejrzenia, czy za sporami nie kryje się intencja wroga i buntownicza wobec Kościoła w którym jest „jeden pasterz i jedna owczarnia“. Pod tych adresem wyjaśniamy merytorycznie nasz pogląd na rolę i zakres samodzielności świeckiego w życiu Kościoła, nasz pogląd na rolę i zakres konfliktów i sporów w łonie katolickiej społeczności. Pod tym samym adresem pragniemy też sprecyzować najważniejsze przedmioty sporów czy rozbieżności między nami a częścią świecko pojętego obozu katolickiego w Polsce.

\*\*

Zakres spraw spornych pragniemy celowo przedstawić w sformułowaniach jak najbardziej praktycznych, ogółającą je z wszelkiej ogólniejszej treści. Sami w istocie jesteśmy przekonani, że spór toczy się o rzeczy bardziej generalne, choć mieszczące się w ramach jednego wspólnego światopoglądu. Chodzi nam jednak w tym wypadku o możliwość największą precyzję.

Jednym z głośniejszych przedmiotów sporu jest nasz stosunek do ustrojowych koncepcji socjalistycznych, zaś wyrażenie negatywnej opinii o wzorcu solidarystyczno - korporacyjnym, lansowanym przez wielu jako ustrój typowo chrześcijański. Nie zamierzamy tu podtrzymywać polemikę. Prowadzimy ją i prowadzić ją będziemy nadal w przekonaniu, że nowe sformułowania społeczno - ustrojowe są konieczne dla skutecznego rozwoju myśli chrześcijańskiej we współczesnym świecie. Nie sądzimy, że spór ten jest w konsekwencjach bardziej ważki od niedawnego sporu między katolikami o monarchistyczny czy republikański ustrój państwa. W encyklice „Au milieu des sollicitudes“

papież Leon XIII stwierdził „Wszelka forma ustrojowa jest dobra, tak długo jak zdąża ona do swego celu, jakim jest dobro powszechne, w ochronie którego autorytet społeczny został ustanowiony... Katolicy, tak jak wszyscy obywatele, posiadają pełną swobodę wybierania między jedną a drugą formą ustroju, właśnie dla tego, że żadna z nich nie przeciwstawia się „per se“ prawom rozumu czy zasadom chrześcijańskiej doktryny“.

Na tym samym i my opieramy się założeniu, podejmując dyskusję od strony jaki ustrój dziś przyniesie więcej korzyści ludzkości i jak ma być realizowany, by swój cel nadprzyrodzony spełniał, a nie z punktu widzenia istnienia klasycznych i niezmiennych wzorców ustrojowych katolickich.

Drugim punktem sporu jest aktualne zagadnienie stosunku katolików polskich do toczących się rozmów między przedstawicielami Hierarchii Kościoła z przedstawicielami Rządu. Wzajemne ułożenie stosunków między państwem, budowanym w oparciu o ideologię marksistowską, a Kościołem Katolickim należy do zagadnień wyjątkowo trudnych. Natomiast obiektywny interes narodu polskiego, jak i również interes sprawy katolickiej w Polsce wymaga tego, by ze strony katolickiej zostało uczynione maksimum wysiłku i wykazane maksimum dobrej woli w rozwiązaniu w chwili obecnej tego zagadnienia. Jedynie Hierarchia Kościoła jest kompetentna do ostatecznego podejmowania w tej dziedzinie decyzji. Postawa katolików polskich może jed-

nak ułatwić, lub wręcz uniemożliwić wszelkie próby pozytywnego rozwiązania. Stwierdzamy istnienie wśród wielu katolików objawów złej woli, stwierdzamy u wielu innych całkowite niezrozumienie wagi zagadnienia. Widzimy przeto konieczność wszelkimi dostępnymi środkami propagowania w społeczeństwie konieczności innego, bardziej dojrzałego na te sprawy poglądu. Przyszłość pracy apostolskiej w Polsce od tego zależy.

Dwa powyższe przedmioty sporu zamykają w sobie najistotniejszą problematykę wewnętrzną dzielącą dziś w Polsce katolicką opinię na dwa odczasy. Następne nie odnosi się już bezpośrednio do spraw polskich. Są wyrazem naszej troski i naszego współuczestnictwa w światowej problematyce katolickiej.

Konkretnym punktem spornym jest przede wszystkim przeprowadzona przez nas krytyka politycznej działalności czołowych ośrodków niemieckich zgrupowanych wokół CDU oraz ustosunkowanie się do niej niektórych wpływowych dziśków katolickich na świecie, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, wreszcie życzliwość na jaką te tendencje napotykały w Sekretariacie Stanu Stolic Apostolskiej. Boli nas fakt, że sprawy polskie są traktowane drugoplanowo przez wpływowe czynniki katolickie w skali światowej, jeszcze bardziej natomiast niepokoi nas to, że świat katolicki nie tylko zbyt powierzchownie przeszedł do porządku dziennego nad odpowiedzialnością moralną hitlerowskich Niemiec za zbrodnie wojenne, lecz w dalszym ciągu pozwala, by pod osłoną katolickich hasel tworzył się

na zachodzie Niemiec kierunek polityczny o identycznej postawie. Upominamy się przeto o życzliwość i sprawiedliwy stosunek katolickiej światowej opinii do naszych spraw, oraz o zmianę stosunku tejże opinii do rewizjonistycznych i junkierskich Niemiec Zachodnich.

Wreszcie punkt czwarty. Cenimy bardzo wysiłek tych kół katolickich na zachodzie, które tam walczą o bezkompromisowe stanowisko katolików w stosunku do zmaterializowanej i zdemoralizowanej kultury świata kapitalistycznego. Występujemy kategorycznie przeciw tym ośrodkom, które przyszość społeczna katolicyzmu łączy z losami kapitalistycznych form społecznych, szukają z tymi siłami sojuszu politycznych, dopuszczają do tego, że autorytet Watykanu bywa przez polityków i finansistów wykorzystywany dla spraw nie wspólnego nie mających z misją Kościoła. Tu znów uświadamiamy sobie, że wywołujemy oburzenie wśród tych dla których Ameryka jest symbolem wolności, sprawiedliwości i powszechnego dobrobytu.

Wymieniliśmy najważniejsze przedmioty sporu szczegółowo, choć rzecz oczywista nie wyczerpują one całością współczesnej problematyki. Wszystko razem sprządza się do konfliktu w łonie społeczeństw katolickich między dwoma postawami — jedną, broniącą zawzięcie przywilejów jakimś cieszyli się jako katolicy, a jednocześnie obywateli pierwszej klasy, a druga — wychodzącą naprzeciw nowym czasom i nowym warunkom społecznym, nie poddając się im mecha-

nicznie, lecz widząc w nich wartości zasadnicze, które trzeba dopiero chrystianizować.

W tej walce nie czujemy się odosobnieni. Jesteśmy częścią ogólnoswiatowego ruchu, prężnego i żywotnego. Ruch ten, w Polsce dopiero wznoszący — coraz żywiej i szerzej przenika dojrzałe kręgi naszego społeczeństwa. Z każdym dniem mocniej odczuwamy jego tętno. Chcemy być jego wyrazem.

Jesteśmy środowiskiem katolików świeckich. Znamy swe miejsce w Kościele i Jego ziemskiej organizacji. Pamiętamy o hierarchii celów doczesnych i pozadoczesnych.

Działalność nasza rozwija się na granicy problematyki katolicko - społecznej i społeczno - politycznej. W punktach spornych, w pełni świadomi ich wagi, jak i celowości i wartości tych sporów dla Kościoła którego jesteśmy częścią, stać będziemy twardo na naszym stanowisku. Głosic je będziemy bezkompromisowo. ▽

Zdając sobie jednak dobrze sprawę ze skomplikowanej trudności jakie następcza współczesna problematyka społeczna i polityczna akcentujemy mocno i będziemy akcentować potrzebę rozważliwej i głębokiej roztropności jakiej wymaga od katolików chwila bieżąca. Wierzmy bowiem, że prawdziwe ukochanie idei Chrystusowej taki obowiązek nakłada.

Walcząc o rozważliwą i postępowe oblicze społeczne katolików wierzmy, że przyczyniamy się do realizacji idei Chrystusowej w życiu współczesnym.

## Ksawery Bohdański

# Fałszywe wnioski z obfitych doświadczeń

„Recenzja jest formą postulującą. Mimo wszystkich skrępowań w ciasnej przestrzeni recenzji pomieścić się winna rzecz najciekawsza i najistotniejsza: ideowe starcie polemiczne, które nie zawsze zresztą przybiera kształt polityczny. Tam, gdzie między autorem o recenzentem zachodzi zgodność, recenzja będzie odsieczą, rezerwą i umocnieniem argumentów“.

Włodzimierz Pietrzak (1939 r.)

Droga poetka Ewy Fiszerówny jest ściśle związana z jej drogą życiową. Ta ki jest los poetów epoki przełomowej, zbyt bolesny jest bowiem nacisk rzeczy wistosci, aby można było ją ignorować. „Miałam wtedy lat trzynastkę, gdy odeszłam na pewno na zawsze z domu, gdzie wiejskie dzieci wołały cukierków. „Moja matka dawała im rządko, tylko przy trzeciomałowym święcie“. Potem nadeszły lata wojny, więzień i nauki — prawdziwe lata trudnych doświadczeń. Wreszcie Starówka, gdzie kolega — powstaniec konał „szepcząc: „żyć“ i nie chciał jeszcze umierać“. W tej groźnej ciągłej śmierci Fiszerówna zgubiła wiarę w siebie, wiarę w człowieka. Wiarsz ten, niezamieszczony zresztą w omawianym zbiorze, nosi charakterystyczny tytuł „Nic“. Oprócz niewiary w „nic“, zostaje tylko gorzka świadomość, że człowiek czło wiekowi skacze do gardła, że ludzie stwarzają sobie piekło sami — i fatalizm prowadzący do uznania życia za z góry przesądzony. Fiszerówna bowiem nie umie sprostać życiu, zamiast szukać — rezygnuje, pada na kolana. Dla niej cztery zmiejęte fotografie wyniesione z wojny, błoto w wojennych pantoflach, zaduch strachu w zasypanym szpitalu, dom który nie wyrósł z pracy, trzynastu kolegów zamkniętych („Świą domość“) — wszystko to jest czyniś, co determinuje ją ostatecznie, doprowadza do poświęcenia własnej osobowości na rzecz określonego momentu historycznego. „Jestem zamknięta — pi-

szczę. — Jestem wynikiem wydarzeń. Ja zamknięta we własnej twarzy“.

Jakie było wyjście z tej podróży do kresu nocy okupacyjnej? Fiszerówna znalazła wyjście w ideologii marksistowskiej. Ale do marksizmu doszła nie drogą, rozumnego przyjęcia, lecz drogą emocjonalno - uczuciowej aprobaty. To nie studia nad „Kapitałem“ czy leninowską teorią odbicia rzeczywistości do prowadziły ją do marksizmu, ale widok roboczej kolumny wyrównującej wyrwy w bruku („Moje miasto“). Taką zaś postawą narzuciła jej optymizm uzasadniony chyba tylko dobrymi chęćiami. „To co było już się dziś nie liczy“ — wydaje się Fiszerównie. — „Przełamał się ze mną chlebem, przelamie się z mną wierszem, ten sam co zawsze człowiek: kolega“. Chlebem tak, ale czy wierszem zobaczymy...

Wierszy, w których Fiszerówna chce spełnić postulat „zamówienia społecznego“ znajdujemy w jej debiutanckim tomiku — dwa: „Rocznik statystyczny 1947“ i „A kiedy idę drogą echo mi towarzyszy“. Fiszerówna, tak bojowa w swych teoretycznych wypowiedziach (por. „Odrodzenie“, nr 211), w politycznych wierszach ponosi klęskę. Już sam tytuł „Rocznik statystyczny 1947“ mówi sam za siebie. Mamy tu po prostu szereg pozycji z tego rocznika przepisanych w wiersz. Rezultat — pusta retoryka, banał i frazes. W drugim wierszu, zamykającym zbiorek poezji, autor ka stosuje naturalistyczną manierę biegania z aparatem fotograficznym: „A kiedy idę drogą śpiewa słup telegrafu, a kiedy idę drogą jak kot nruczy strumyk“ — i nagle wychodzi poza opis, żądając abyśmy uwierzyli, że „kiedy idę drogą każdy mi towarzyszy i ci co słyszysz przyszłość podają mi dłonie“. Dlaczego? — pytamy. Taki nagły przeskok, z opisu dającego się skonfrontować z rzeczywistością, w patos naiwnego werbalizmu proponujący nam przyjęcie „na wiarę“ słów poetki — razi czytelnika cięższym wewnętrznym. Wiersz ten jest

świadectwem klęski nie tylko metody pisarskiej Fiszerówny, lecz również klęski jej jako poetki — pokazuje zaulek w jaki zabrnęła.

U Fiszerówny prócz wierszy „upolitycznionych“ znajdujemy również poezję „osobistą“. Ona ratuje jej tom, co więcej wysuwa go na czołowe miejsce wśród innych pozycji. Większość tych wierszy dotyczy problemu śmierci:

„Pule jak kola wagonu  
Powtarza z uporem:  
Cho-ry, cho-ry, cho-ry,  
Językiem bada się smak śmierci  
I spluwa.“

Do zielonej flaszeczki z retworem“.

Fiszerównie daleko do głębi Jerzego Lieberta, czy do zrozumienia rozpaczywej samotności człowieka wobec nadciągającej śmierci, jaką znajdowaliśmy w poezjach Stefana Napierskiego. Nie chodzi mi tu o szczerłość jej wyznań. Szczerłość pisarza jest dla odbiorcy czymś nieważnym, ważny jest natomiast sposób oddania przeżyć. François Villon i Victor Hugo opisali kiedyś przeżycia ludzi skazanych na karę śmierci. I chociaż Villon czerpał z osobistego doświadczenia, Hugo zaś z wyobraźni — „Le jour d'un condarné“ — Victora Hugo sprawia silniejsze wrażenie. Czy telnika nie obchodzi subiektywna głębia przeżyć poety — chodzi mu tylko o siebie samego, o to, co dostaje.

Zywe w poezji jest to jedynie, co dotyczy człowieka, problemy moralne bowiem związane są z człowiekiem, tylko z człowiekiem.

Wszelkie opisy przyrody, budowli, mieszkań, obrazów, rzeźb, zjawisk atmosferycznych itd. — są martwe od chwili poczęcia, o ile opis nie był pretekstem dla pełniejszego pokazania człowieka. Jedynie człowiek jest tematem sztuki, reszta to tylko tło dla jego uwypuklenia. Poezja

\*) Ewa Fiszer. „Doświadczenia“, poezje, „Książka i Wiedza“, 1949, str. 25.

jest bowiem rezultatem najgłębszych przeżyć człowieczych: jego myśli i jego czynów, jego miłości i nienawiści. Jest ona środkiem krystalizacji człowieka.

„Doświadczenia“ zdają zapowiadać, iż Fiszerówna mogłaby podjąć tę problematykę. Największą jej zaletą jest oszczędność słowa i drobiazgową, intelektualną kontrola własnych „natchnień“. Pisze mało, pisze tylko wtedy (wyjątki omówiłem), gdy naprawdę ma coś do powiedzenia. A to jest wobec wodolejstwa i pustostawia współczesnej poezji — wiele, bardzo wiele. Za to należą się jej słowa uznania. Fundamentem poezji jest rygor i dyscyplina wewnętrzna pisarza, maksymalna oszczędność słowa. Julian Przybós proponował kiedyś taki sprawdzian wartości wiersza: „Zły jest wiersz, w którym bez szkody dla wyrazu artystycznego skreślić można strofe, zdanie czy słowo“. Sądzę, że Fiszerówna przesłaby przez ową próbę zwycięsko.

Sądzę jednak, iż na dalszym etapie rozwoju nie wystarczy jej nadzieja: „Nie pozwoli się innym umrzeć“. To za mało dla tego kto cierpi. Powinna ona zrozumieć, że sanatorium w rozbiwionym Zakopanem leży człowiek, czło wiek który w bezsenne noce „bada smak śmierci“, człowiek absolutnie samotny, przez nikogo naprawdę bez reszty niezrozumiany — człowiek stojący sam na sam wobec problemu nicości. Wtedy budzi się w nas coś, co jedni nazywają zmysłem kosmicznym, inni instynktem metafizycznym, a jeszcze inni strachem przed śmiercią. Jeżeli Fiszerówna będzie umiała głęboko spojrzeć na życie, przełamać swój fatalistyczny determinizm, znajdzie drogę wyjścia z zaułka w jakim się znajduje — w jej następnym tomie znajdziemy jeszcze więcej prawdziwej poezji — takiej, jaka jest w wierszach: „Strach“, „Dzie-dzictwo“ czy „Bajka“. Ale to zależy od niej samej.

Ksawery Bohdański



Zygmunt Lichfiak

# Książka, do której się wraca

Są książki, których omówienie nie da się pomieścić w ramach recenzji. Rozpatrywanie ich elementów formalnych i treściowych według ustalających się — niestety — u każdego prawie recenzenta schematów wydaje się czymś niestosownym i gwałcącym wewnętrzny nakaz dzieła. Do takich dzieł należy wydana po raz drugi w czasie pięćdziesiąt lat powojennej powieści Jerzego Zawieyskiego\*).

Książka ta zawiera w sobie tak duży ładunek myśli, tak intensywnie żywo namizowane rozważania o jednej z najistotniejszych spraw życia ludzkiego, że wtłaczanie całej jej problematyki w ramy schematu recenzyjnego krzywdzi książkę, czytelników, autora i — recenzenta.

Dlatego na wstępie trzeba wyjaśnić, że dalsze wywody stanowiąc będą nie próbę oceny dzieła literackiego, która może wynikać ubocznie, ale próbę przedstawienia książki jako walki myśliciela — artysty z potęgą Nieznanego, i Niedocenianego, próbę powtórnego prześledzenia dróg, jakimi autor wręczał się w gąszcz tajemnicy ludzkiej, wreszcie próbę zarejestrowania wszystkich jego osiągnięć i pomyłek, próbę zakreślenia na mapie wszystkich zwycięskich szlaków, jakimi może nas prowadzić ku głębszemu poznaniu człowieka i wszystkich ślepych zaułków, w jakich może nas wraz z sobą uwikłać.

Pominięcie recenzyjnego potraktowania tej książki ułatwia nam szczęśliwy zbieg okoliczności, dzięki któremu została ona omówiona na łamach naszego pisma trzy lata temu, gdy ukazywała się w pierwszym wydaniu. Wtedy podano jej recenzentką ocenę, streszczenie i próbę syntetycznego ukazania całości dzieła.\*\*)

## DROGA DO ODKRYCIA MĄDROSCI UCZUCIA

„Droga do domu” jest próbą dokonania możliwie dokładnej analizy procesu psychologicznego, polegającego na ustalaniu stosunku jednostki wobec otaczającego ją świata. Ten świat — w wymiarze doczesnym — to przede wszystkim inni ludzie. Problem sprowadza się więc do analizy stosunków między ludzkimi. Analizy psychologicznej, nie socjologicznej. Bo Zawieyski wybrał najtrudniejszą odmianę stosunków: miłość. Psychologiczna analiza stosunków międzyludzkich sprowadza się do analizy tego uczucia. W tym pozornym zwięźeniu problematyki łatwo uchwycić określoną i słuszną tendencję do ukonkretnienia obiektu rozważań. Ukonkretnienie to ma zwiększyć możliwości dokładnej i wnikliwej obserwacji.

Wyodrębniony dokładnie materiał obserwacyjny, Zawieyski podchodzi do niego z założeniem, wyrażonym cytatem z Pascala: „Człowiek jest trzciną najsłabszą w przyrodzie, ale to trzcina myśląca. Dla zgniecenia go nie trzeba, aby się cały świat zbroił. Nieco mgły, krępla wody wystarczy, by go zabić. Lecz niechby był zgnieciony przez wszechświat cały, to jeszcze byłby czymś szlachetniejszym od tego, co go zabija, gdyż on wie, że umiera i zna przewagę, jaką wszechświat ma nad nim. A świat nie wie o tym nic. Cała tedy godność nasza leży w myśli”.

To racjonalistyczne założenie książki, wyrażone w powyższym cytacie, już na samym początku powieści zostało sformułowane i uwarunkowane kilkoma zastrzeżeniami. Oto „nie fakty, nie uczucia, a tym bardziej nie myśli określają prawdę o człowieku” (str. 20).

Według Zawieyskiego tej prawdę określa „jakaś jednolitość”, która jest sumą,

wszystkiego” (str. 20). Jaka? Po prostu: jakaś. To nieokreślone określenie jest wyrazem dosyć zasadniczych wątpliwości, dosyć istotnej niejednoznaczności wobec siły intelektu, której to siły nie może zabraknąć w „sumie wszystkiego”, ale która nigdy nie może spełniać funkcji ostatecznej wyroczni.

Wyłania się przed nami problem konkretnego ustalenia wartości poszczególnych narzędzi poznawczych w poszczególnych dziedzinach życia ludzkiego, problem ustalenia „jakieś jednolitości”, która jest sumą „wszystkiego” i określa naszą prawdę o ludziach. Co jest wykładnikiem, praktycznym odpowiednikiem tej „sumy wszystkiego”? Sledźmy autora „Drogi do domu”, walczącego z tymi problemami.

Czytamy: „Teresa wywiera zawsze, nieomylnie, na każdym duże wrażenie. Stwierdziłem wielokrotnie, wśród rozmaitych warunków obserwując ludzi odmiennych duchowo, różnych pod względem wykształcenia i środowiska, którzy się choć przez chwilę z Teresą zetknęli”. To jest spostrzeżenie obserwatora, gromadzącego materiał analityczny, mający po zsumowaniu posłużyć do wysnucia wniosków.

Oto zsumowanie: „Wrażenie było zawsze tej samej kategorii, trudne do określenia, mocne jednak, zastanawiające właśnie dlatego, że nie podlegające schematom”. W oparciu o to zsumowanie można przystąpić do próby wysnucia wniosków.

Oto próba: „Nie wygląd zewnętrzny o tym decydował... Jeśli nie to, więc chyba właściwości duchowe, lecz jakie?” Pytanie przyciska do muru, odpowiedź musi trafić w sedno.

Oto odpowiedź: „Cokolwiekby się o nich (właściwościach duchowych Teresy — przyp. mój Z. L.) powiedziało, byłoby to zupełnie niewystarczające”. Jakież jest więc ostateczne, rozumem określony i rozumem poznawany zasadniczy wyróżnik Teresy?

Oto zasadniczy wyróżnik: „Wrażenie, jakie ona wywiera jest szczególnej natury”. Co to znaczy? To znaczy, że nie bardzo wiemy, co takiego nas w Teresie uderza. To znaczy, że nie potrafimy o niej nie konkretnego powiedzieć, czyli: obserwacja i komentarz intelektu dają w sumie pusty frazes, ogólnik, mgliste nie. Czyżby — kompromitacja intelektu? Nie. Raczej degradacja do roli siły pomocniczej, której działanie kończy się u wrót tajemnicy ludzkich uczuć. Czym kierujemy się po przekroczeniu jej progu?

W „Drodze do domu” czytamy: „Odchodzą ludzie od rozwiązania tego trudnego zjawiska, jakim jest Teresa, prze stają się nią interesować nawet, ale — dziwna rzecz — zostają przy niej i lgną do niej”. Zważmy to w duszy u siebie: nie rozumiemy Teresy, ale lubią Teresę. Odchodzą od niej myślami, ale lgną do niej uczuciem. Uznają więc i odkrywają w niej jakieś wartości. Odkrywają drogą pozorazumową, bo rozum mówił tylko, że „wrażenie jakie ona wywiera jest szczególnej natury”. W takim rozumowo wydedukowanym stwierdzeniu nie było żadnej oceny wartości. Co o wartościach mówi zdanie, że były one „szczególnej natury”? To nic nie mówi. Ale te ostatnie decyzje uczuciowe, to „lgnięcie” jest już oceną (subiektywną, oczywiście), ale konkretną oceną jakichś rozumem nieokreślonych wartości Teresy. Poznaliśmy więc jakieś wartości pozorazumowo. Istnieje więc **mądrość uczuć**, ustalająca nasz stosunek do tych wartości, których nie potrafiliśmy ocenić w oparciu o przesłanki racjonalne.

W tej ukrytej na dnie książki tezie nie ma pochwały irracjonalizmu. Byłaby to rażąca sprzeczność z intelektualistycznymi ambicjami książki. Teza o **mądrości uczuć** nie zwalnia z obowiąz-

ku racjonalnego dochodzenie prawdy, ustala tylko granice możliwości, aby uniknąć nieporozumień, wynikających ze stosowania niewłaściwych narzędzi poznawczych w niewłaściwym zakresie. Mądrość uczuć w niczym nie ubliża myśli ludzkiej. Przeciwnie. Podnosi jej znaczenie. Myśli ludzkiej przypadła w udziale zasługa odkrycia mądrości uczuć. Ta odkrywczyzna podnosi godność „trzciny myślącej”. Ona wyzwala człowieka z chaosu. Ona wreszcie stanowi siłę stwarzającą warunki, w których człowiek może analizować siebie i drugiego człowieka. A tylko w takich warunkach istnieje szansa wyciągnięcia wniosku, obalającego mit omnipotencji rozumu i wprowadzającego ład w zakres działania poszczególnych narzędzi poznawczych.

Wynik analizy, zmierzającej do ustalenia ład wewnętrznego, jest jednoznaczny: kompetencje rozumu nie wystarczają dla regulowania napięć emocjonalnych, nie wystarczają dla uzasadniania kierunków uczuciowych, w sprawach serca człowiek jest skazany na mądrość uczuć.

## SKRET NA BEZDROŻA

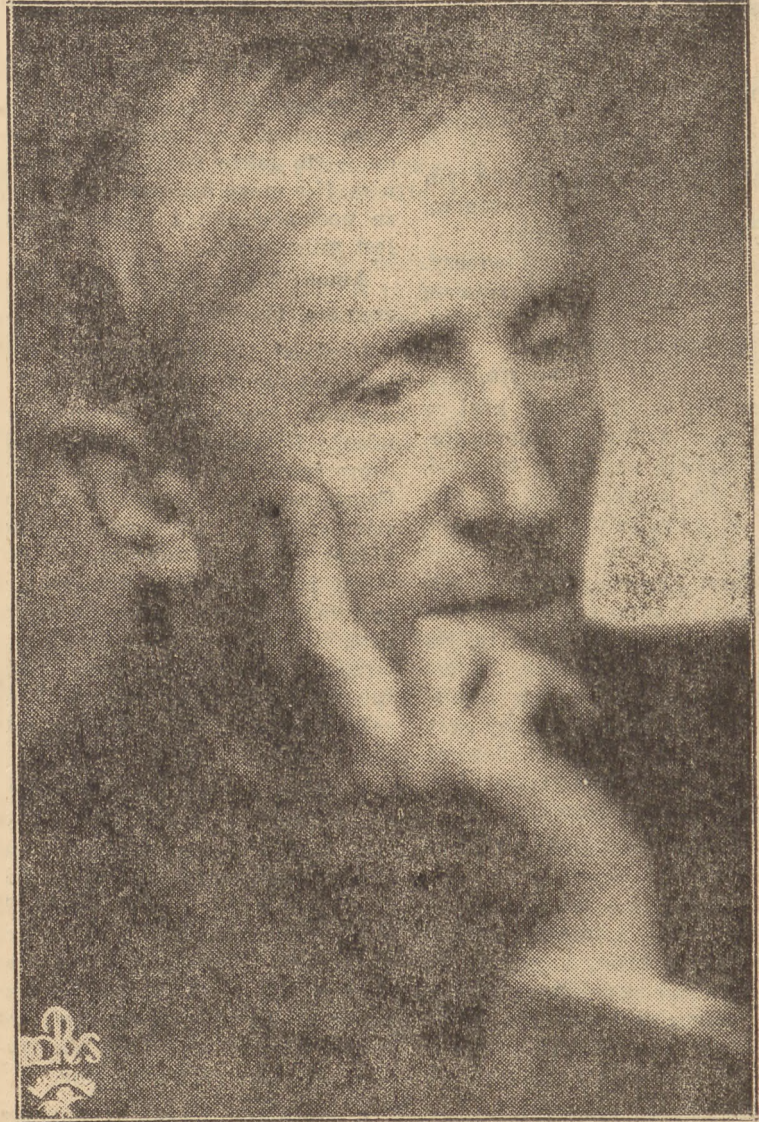
Wniosek ten nie budzi zasadniczych sprzeciwów. Różną się one jednak przy bliższej analizie przedstawienia w „Drodze do domu” samej mądrości uczuć. Wydaje się, że potraktował ją autor zbyt pesymistycznie, zbyt jednostronnie obserwując życie obarczył ją fatalizmem, skazał na nieuchronne i — co gorsza — beznadziejne konflikty.

Oto one: Paweł kocha Teresę. Teresa nie może kochać Pawła, bo kocha zmarłego Andrzeja. Adam kocha Marię. Maria nie może kochać Adama, bo kocha zmarłego René. Irena kocha Tomasza. Tomasz nie może kochać Ireny, bo kocha Teresę. Teresa nie może kochać Tomasza, bo... tragiczne da capo al fine.

We wszystkich wypadkach osoby zaangażowane uczuciowo — zgodnie z podstawową tezą książki, ustalającą kompetencje władz poznawczych — działają nie w oparciu o racjonalne przesłanki, lecz tak, jak im nakazuje działająca wewnętrzna mądrość uczuć. W żadnym wypadku ta mądrość nie zapobiegła ich konfliktom. We wszystkich wypadkach doprowadziła do tragedii. Ponieważ w ramach dzieła nie ma innych, przeciwstawnych sytuacji, poprawna dedukcja — pokrywająca się z wynikami z sugestii emocjonalną powieści — dyktuje trzy wnioski.

Oto one: albo wszystkie stosunki międzyludzkie są stosunkami sprawdzającymi się w ostateczności do cierpienia i niezaspokojonych tęsknot, albo mądrość uczuć jest determinowana przez „chemię krwi”, czyli kwestie fizjologiczne, a więc faktycznie nie istnieje, albo wreszcie autor uległ bądź wpływom jakichś zewnętrznych konwencji literackich, bądź wpływom nader subiektywnych stanów psychicznych, które nie pozwoliły na dostateczną dla zachowania harmonii dzieła obiektywizację aktu twórczego.

Ponieważ „Droga do domu” kończy się momentami afirmatywnymi, wniosek pierwszy odpada. Ponieważ autor sam podkreśla wtórność, a tym samym wyklucza wyłączność wpływów fizjologii na kontakty uczuciowe, odpada także drugi wniosek. Pozostaje — trzeci. Nie naszą jest rzeczą analizować stopień subiektywizacji przeżytej Pawła. Nie mając prawa upatrywać w nim porte - parole autora, szukamy przyczyn wewnętrznej niekonsekwencji dzieła w trochę mechanicznym przyjęciu pewnych konwencji literackich. Można by przypominać przez wyliczanie wszystkich par kochanków, które nie znalazły w miłości siły twórczej, lecz się niszczyły, nie źródło radości i szcze-



ścia, lecz smutku i cierpienia. Od Pawła i Teresy do Romea i Julii szeregi byliby długi. Konwencję tę usankcjonował romantyzm. Jednak jeszcze w epoce Wertera i Gustawa konflikty wewnętrzne bohaterów tłumaczyły się sytuacjami zewnętrznymi. U Zawieyskiego nie znajdziemy wyjaśnień w kontekście zewnętrznych wydarzeń. Jego bohaterowie znajdują źródło swoich konfliktów tylko w sobie. Przypomnieć jednak warto, że tak swoich bohaterów potrafił konstruować już Przybyszewski. Uchylamy się od jakichkolwiek porównań, czy ryzykownych paralel historyczno - literackich. Chcemy jedynie zwrócić uwagę, że fatalizm wewnętrznych konfliktów uczuciowych usankcjonowany przez modernę, jest, co prawda, subtelniejszym problemem psychologicznym, niż problem konfliktów tłumaczonych się trudnościami zewnętrznymi, jaki usankcjonował romantyzm, ale i jeden i drugi był wynikiem specyficznych warunków, i jeden i drugi usprawiedliwiony był epoką, dlatego ani jeden, ani drugi nie może być konwencją obowiązującą w innym okresie czasu, w innej epoce. Nie chodzi tu o wartościowanie romantyzmu czy moderny, nie chodzi o podbudowę do naszej tezy, że epoka determinuje sposób odczuwania, chodzi jedynie o postawienie wniosku, że jeśli chce się tworzyć dzieło wewnętrznie harmonijne, trzeba je tworzyć albo zgodnie z konwencjami swojego czasu, albo wyprzedzać swój czas, narzucając nowe konwencje. Powrót do najlepszych nawet konwencji epok minionych jest zawsze odwrotem. I mści się na prawdzie utworu.

Tym tłumaczymy sobie niepokojącą nas sprzeczność wewnętrzną powieści Zawieyskiego. Tym wyjaśniamy sobie niebezpieczne zakręty ciekawej i wspaniałej drogi, która zgubiła się na chwilę w bezdrożu.

Na chwilę. Bo — jak już raz wspominaliśmy — całość dzieła ma głęboki sens afirmatywny. Trochę po omacku, wiedziony nieomylnym instynktem prawdziwego artysty, Zawieyski odnai-

duje zagubiony szlak. Przewycięzając pesymizm wiarą w sens wszystkiego, co jest. Trzeba byłoby napisać drugi artykuł, aby oddać dokładnie przebieg tego procesu. W zakończeniu tych uwag, musimy poprzestać tylko na ogólnej refleksji.

## ZWYCIEŚTWO ARTYSTY

Jest to refleksja niemal paradoksalna: wielką wartość książki stanowi jej błąd wewnętrzny. Jak się okazuje w dziełach skończonych artystycznie nawet błędy oplacają się stokrotnie. Beznadziejne konflikty bohaterów Zawieyskiego uczą troskliwości w rozważaniu spraw ludzkich, ukazują niesłychaną złożoność ludzkiej natury, przypominają, że człowiek to trudna, arcyciekawa i piękna rzecz. Wnikliwość obserwacji Zawieyskiego, nawet przy pewnej jednostronności, naparta doświadczeniem artysty, który szuka tego jedyne słowa, trafnie określającego przedmiot, nastrój czy odcień uczucia dała w wyniku coś, co jest dokumentem błędzącego w niedoskonałości, ale jak najintensywniej ku doskonałości zmierzającego humanizmu.

Tych wniosków nie trzeba dedukować z jakichś skomplikowanych rozważań. Narzucają się one jako pierwsza, bezwzględna prawda książki.

Nie jest to prawda jedyna. Czytając „Drogę do domu” raz drugi i trzeci, odkrywamy w niej prawdy nowe, dawniej nie zauważane. Możemy — jak w tym artykule — nie godzić się na te czy inne sugestie, na te czy inne sytuacje, na jedno zgodzimy się zawsze: każdorazowy kontakt z tą książką pogłębia nas i z bogaca. A to jest chyba najważniejsze i najszczytniejsze powołanie artysty. Nie będziemy opowiadali o jego trudach i zwycięstwach. Zastrzegaliśmy się na początku, że nie piszemy recenzji. Przypuszczamy zresztą, że kształt artystyczny „Drogi do domu” jakoś osądziliśmy, stwierdzając, że jest to książka, którą trzeba przeżyć, którą trzeba przemyśleć, że jest to książka, której nie odkłada się na półkę, lecz książka, do której się wraca.

\*) Jerzy Zawieyski „Droga do domu”, wyd. II, E. Kuthan, Warszawa—Kraków, 1949, str. 320.

\*\*\*) L. M. Bartelski: „Powieść o cierpliwej miłości”, „Dzisiaj i Jutro” nr 17 z dnia 5 maja 1946 roku.



## Akt II-gi

Sala pałacu Dawida. Przy stołach siedzą: Uryjasz, obok niego oficer. Dalej Etan, oraz Amon i Safan. Służba przynosi wino. Psalmiści zgrupowani kończą pieśń.

Pieśń:

Więc któż nam da zdobyć miasto warowne?  
Kto nas powiedzie w grody

Idumei?

Czyż nie Ty, Boże?

Ty nam daj pomoc przeciwko tym wrogom,  
Gdyż tu daremny ratunek

człowieczy.

Przez Boga wsparci, walecznie się stawim,

a On podepcze naszych napastników.

Etan: Tę pieśń ułożył król w początkach wojny z Ammonitami. Właściwie można ją śpiewać, jako pieśń bojową. Jest w niej wiara w zwycięstwo, które dane będzie przez Pana.

Uryjasz: Zapewne, Etanie. Ale na wojnie rzadko śpiewa się pieśni, nawet tak piękne, jak ta. Na wojnie jest twarde życie. Jestem całym sobą wśród moich żołnierzy, których zostawiłem, aby przy być tutaj na rozkaz królewski. Wojna, to dobrze obmyślony plan, odwaga i trochę szczęścia.

Etan: A pomoc z góry, Uryjaszu? Pomoc Boża?

Uryjasz: O tym wiedzą prorocy i poeci. My żołnierze zamiast wiary mamy broń, a gdy broń zabraknie nie gardzimy choćby nawet okrucieństwem (do oficera). Proszę cię, nie śpij, jesteś w pałacu królewskim i nie wypada tu chrapać!

Oficer: Wolę już śmierć pułkownika, niż ciągłą walkę ze snem. Zdaje mi się, że są to czary, rzucone na mnie przez ślepa Amonitkę. To jest potężna broń, pułkownik! Za to, że ją całował i ścisnął, rzuciła czary. Co by było, gdyby Amonitki rzuciły czary snu na całą armię królewską? Nie pomogłyby nawet Bóg, wielki Jahwe!

Etan: Uważaj na słowa oficera. Jesteś w pobliżu świętego meża, króla Dawida!

Oficer: Jeśli nie wyzwolę się z tych czarów, niech mnie pułkownik każe powiesić. To mało, że chce mi się spać! Mam sny na jawie! Mam wizje! Pułkowniku, mam wizje!

Uryjasz: Nie przeszkadzaj. Prowadzimy poważną rozmowę. Przerwałś nam wątek.

Amon: Mówiłeś bardzo interesująco o wojnie i o tym, że żołnierze nie mogą liczyć na pomoc z góry. Mogłoby to osłabić jego postawę bojową.

Etan: A jeśli wzmacnia się ona wiarą w pomoc z góry?

Uryjasz: W takim razie wszystko w porządku. Ważna jest każda rzecz, która dodaje odwagi. Chciałem powiedzieć, że wojna rzeczywista, a wojna w pieśniach, to zupełnie różne wojny. Wojna rzeczywista jest brutalna i okrutna. Jest przy tym wstrętne i brzydka. Wojna w pieśniach — to piękne kłamstwo, więc, pieśniarze chylę głowę przed pieśnią króla Dawida. Przed każdą pieśnią wojenną.

Etan: Mylisz się pułkowniku. Mam zapisane kroniki wojen królewskich. Zwycięstwa Dawida są znane i wiecie dobrze, że nie ma wojny, w której by poniósł klęskę. Pieśni mówią prawdę, bo wojny Dawida, to wojny święte. O każdej z nich rozmawiał Dawid z Panem przez usta proroków, a największym prorokiem jest on sam.

Uryjasz: Należę, Etanie, do wielbicieli Króla Dawida. Przyszedłem do niego z mojego kraju, aby walczyć w cieniu jego wielkości. Powiem więcej — kocham króla, tak, jak kocha go każdy żołnierz, który teraz zdobywa twierdzę Amonitów. W królu Dawidzie jest geniusz.

Etan: Geniusz i świętość.

Uryjasz: Być może. Gotów jestem uznać, że wielkość Dawida — to także świętość i tajemnica. Nie mogę być pewny, jak ty, że pochodzi ona z Nieba. Niebo jest milczeniem.

Amon: Niebo jest wielkim milczeniem. Obchodzi nas ziemia.

Uryjasz: Co nie oznacza, aby i ziemia nie kryła tajemnic.

Safan: Czy pozwolisz, pułkowniku? Ułożyłem słowa o ziemi, które śpiewałem wczoraj królowi. Powtarza się w mej pieśni motyw ziemi samotnej, zawieszanej wśród planet i gwiazd. Czymże na tej ziemi jest człowiek? Nie będę ci śpiewał, pragnę tylko potwierdzić, że tajemnica osnuwa sens wszystkich rzeczy na ziemi. Gdy śpiewałem tę pieśń królowi, król zakrył twarz dłońmi i powiedział: „to bardzo smutne“.

Uryjasz: To rzeczywiście smutne, Safanie. I w tej chwili jest tak, jakby ziemia odpływała w stronę uciekającego księżyca. Może za wiele piłem dziś wina? A może to wasza, pieśniarzu, muzyka kołysze i osłabia poczucie rzeczywistości. Muzyka jest niebezpieczna, jeśli ma wypowiadać coś więcej niż dźwięk. Jeśli ma wypowiadać niewypowiedziane.

I. Pieśniarzu: Czyni to muzyka Dawida — i dlatego jest to muzyka wielka. Nietrafne były twoje uwagi o wojnie w pieśni i o wojnie w rzeczywistości. Czy wsłuchałeś się dobrze w pieśni przez nas śpiewane?

Uryjasz: Nie. Myślałem bowiem o moich żołnierzach i o tym, czy dobrze będą wykonane rozkazy przez mego zastępcę? Pilno mi tam wrócić. Daruj, pieśniarzu, jestem zbyt czuły na muzykę, abym ją dobrze rozumiał. Każda nuta gotowa mnie wzruszyć do łez. Tak samo, Etanie, wzrusza mnie do łez milczenie nieba. Czyż inaczej mógłbym tak kochać króla Dawida, który z Niebem rozmawia i niebo pieśnią swoją przenika?

Etan: Przenikanie nieba przez króla Dawida daje wielkość wszystkim jego czynom. Czyny Dawida pochodzą z nieba. Jako kronikarz królewski nie pojąłbym zdarzeń w życiu Dawida, gdybym nie wiedział, jakie jest ich źródło?

Uryjasz: Wyraziłem już swój pogląd na wielkość Dawida. Jest w niej tajemnica, jak w każdej wielkości.

Amon: Należę także do wielbiących Dawida, ale w tym, co mówicie, jest dużo przesady. Nie wszystkie czyny królewskie mają swe źródło w natchnieniu nieba. Są takie czyny, które powinni opłakiwać przyjaciele Dawida. Ale są one piękne, bo ludzkie. I kto wie, Etanie, czy nie są one także prawdziwie wielkie?

Etan: Nie wiem. Nie wiem.

Uryjasz: Dobrze jest w pałacu Dawida. Powietrze wypełnia tutaj muzyka i niebo. Jedno i drugie jest mową tajemniczy. Jest za dobrze, przyjaciele, gdyż mieszka tu sama słodycz i samo piękno. Budzą się pragnienia, aby życie mogło być, jak pieśń aniołów. Ogarnia tęsknota za niebem, bo ziemi tu już nie ma i jest tak, jakby się płynęło wśród planet i gwiazd. Jest tu za dobrze w pałacu Dawida, wśród pieśniarzy i muzyki.

## Jerzy Zawieyski

## PIEŚŃ O

Amon: Czy myślisz o Betsabei? Tęsknisz za nią?

Uryjasz: Betsabea... Nie rozdzielajcie serca, przyjaciele. Betsabea jest wierna i czeka. Ale nie wezmę jej w ramiona, dopóki nie wrócę z wojny.

Amon: Król rozkazał ci spędzić noc z Betsabeą. Czy za nic masz rozkaz królewski? Jeszcze jest czas. W oknach Betsabei widać światło. Betsabea czeka.

Etan: Byłoby dobrze. Uryjaszu, gdybyś spełnił rozkaz królewski. Amon mówi prawdę. Betsabea czeka i tęskni.

Uryjasz: Tego rozkazu nie spełnię. Nie ręczę, czy mógłbym o świcie oderwać się z ramion Betsabei. Nie myślę, że jej nie pragnę i że nie boli mnie, gdy widzę światło w jej oknach, ale jestem wierny moim żołnierzom i muszę wrócić o świcie przytomny. Nie chcę myśleć teraz o Betsabei.

Oficer: Zabij mnie pułkowniku! Mam wizje straszne i śmieszne.

straszna i śmieszna, proszę cię, zabij mnie!

Uryjasz: Jesteś chory i bardzo senny. Połóż cię spać. Zobaczysz mój drogi, że od razu znikną twoje śmieszne wizje.

Oficer: Chodzę i śpię, stoję i śpię, lepiej, ażebyś mnie zabił. (obaj wychodzą).

Amon: Masz oto wdzięczny temat, Safanie. Nieznany żołnierz i wojna. Dla was, psalmiści, jest to wstrętne i brzydkie. Nie wiadomo, czy pieśń złożona ze słów tego żołnierza, przeniknęłaby w niebo?

I Pieśniarzu: Przeniknęłaby na pewno. Byłaby to pieśń o doli człowieczej. Pieśń — skarga. Nie myśl, że król Dawid to tylko artysta. To także mędrzec. Śpiewamy wiele pieśni, w których jest mowa o ludzkim cierpieniu.

Etan: Możemy cię zapewnić, że przebijają one niebo. Król Dawid... (wchodzi król Dawid).

Dawid: Mówiliście o mnie?



To nie są sny, bo widzę wszystko na jawie, na pół przytomnie. Widzę ciebie, pułkowniku, widzę was, pieśniarzu. widzę ten pałac, ale równocześnie widzę pole bitwy i jakiś nieznaną kraj. Wszystko na raz! Amonitki mają głowy kugucie i walczą między sobą, jak armia kogutów w spódnicach! To bardzo śmieszne! Cała armia pieje. Ty, pułkowniku, wybacz, masz głowę jelenia i na każdym rogu twej głowy siedzi kogut w spódnicy! Wymachujesz rękami, ale nie możesz się oderwać od tych potwornych ptaków! Zdziobią cię na śmierć, jeśli nie uciekniesz i nie schronisz się w wodzie. Woda płynie górą lasu i ma kolor czerwonawy. Pływają w niej ryby, cała armia ryb, które śpiewają psalmy. Toczy się straszna walka rybio - kogucia. Być może, że zwyciężą ryby i uratują twoją głowę jelenia. To bardzo śmieszne, ha, ha, ha! W tej chwili pułkowniku jedziesz na rybie, która śpiewa, a inne ryby ściągają koguty do wody. Ta wizja się rozrasta, jest

Etan: O Tobie, panie... (król Dawid idzie w stronę okien, patrzy przez chwilę).

Dawid: Pałają się światła w oknach pałacu Uryjasza i Betsabei. Niebo ciemne i bez gwiazd. Co mówiliście o mnie?

Etan: Właściwie mówiliśmy o cierpieniu i o pieśniach twoich, które są pieśniami o doli człowieczej.

II Pieśniarzu: Cudzoziemcy nie wiedzą, że są takie pieśni przez ciebie ułożone. Śpiewamy je często z tobą.

Dawid: Są takie pieśni, cudzoziemcy i śpiewamy je często.

I Pieśniarzu: Czy chcesz zaśpiewać z nami, królu Dawidzie?

Dawid: Nie jest to pora śpiewania pieśni. Już późno. Dlaczego nie śpiesz? Nie myślałem, że was tu zastanę. Ale dobrze, że jesteście. Potrzeba mi w tej chwili waszego oddania, potrzeba mi waszego widoku.

Pieśniarzu: Kochamy cię królu.

Dawid: Łączą nas trudy muzyczne, niepojęte dla tych, którym muzyka jest obca. Mamy nie łatwe, ale i piękne życie.

Pieśniarzu: Piękne.

Dawid: Dobrze mi z wami, gdy noc ciemna, jak teraz, gdy cicho i nie ma nikogo. Muzyka napływa sama i chce, by ją wziąć. Słyszycie? Cisza gra... (pieśniarze grupują się wokół Dawida). (Powoli siadają u jego stóp).

I Pieśniarzu: Jeśli chcesz, wniesiemy harfę, abyś mógł położyć na niej swe ręce.

Pieśniarzu: Połóż swe ręce na harfie.

II Pieśniarzu: Muzyka tej chwili nie powtórzy się nigdy.

Pieśniarzu: Połóż swe ręce na harfie...

III Pieśniarzu: Zdaje się, że teraz nazwać byś mógł nienazwane.

Pieśniarzu: Połóż swe ręce na harfie...

IV Pieśniarzu: Powiesz w muzyce prawdę o cierpieniu i o nadziei.

Pieśniarzu: Połóż swe ręce na harfie...

V Pieśniarzu: Otworzy się niebo, jeśli otworzysz swe serce.

Pieśniarzu: Dawidzie! Królu Dawidzie!

Etan: Muzyka napływa — mówisz — i czeka. Jest cisza muzyczna, która cię wzywa.

Dawid: Nie zagram. Wasze czekanie i wasza miłość — to coś równie pięknego, jak muzyka. Dziękuję wam. Jestem już mocny, a byłem słaby. Miasto śpi, tylko w jednym domu pałają się światła. W domu Uryjasza i Betsabei. Zegnajcie, pieśniarzu. Zegnajcie, cudzoziemcy. Zegnaj, Etanie. (odchodzi. Dawid sam. Stanał w oknie i patrzy. W pewnej chwili zjawia się Uryjasz. Zdumienie króla).

Dawid: Uryjasz? Tutaj? W twoim domu pałają się światła. Na oknach snuje się cień Betsabei. Czy byłeś u niej?

Uryjasz: Nie, królu.

Dawid: Na cóż więc czekasz? Do świtu daleko.

Uryjasz: Nie mogę wypełnić twojego rozkazu. Niech cię to nie gniewa, panie, ale nie chcę zobaczyć teraz Betsabei.

Dawid: Dlaczego? Nie widziałeś jej od początku wojny z Amonitami.

Uryjasz: Nie mogę jej teraz zobaczyć, bo nie wiem, czy wyszedłbym od niej o świcie.

Dawid: Daję ci swoje zezwolenie na cały następny dzień i na całą następną noc.

Uryjasz: Jesteś dobry i łaskawy królu. Oboje z Betsabeą potrafimy to ocenić. Dobroć twoja dla nas przewyższa miłość naszą do ciebie. Ale daruj, nie zobaczę Betsabei.

Dawid: Nie wiem, jak mam to rozumieć, Uryjaszu?

Uryjasz: Przybyłem na twoje wezwanie prosto z pola bitwy. Zostawiłem swoich żołnierzy, którzy tak samo, jak ja nie widzieli swych kobiet od wielu miesięcy. Wiedzą, że przybyłem tutaj na



# NADZIEI

rozkaz królewski, który dotyczy wojny. Czy mógłbym spojrzeć im w oczy, gdybym wrócił syty pieścot Betsabei, gdy oni w trudach wojennych zapomnieli, co to ramiona kobiety, co to ciepło domowego zacisza?

**Dawid:** Jest to zbyt szlachetne i zbyt niewiarogodne co mówisz.

**Uryjasz:** To prosta prawda żołnierska i zwykły obyczaj dowódcy. Jesteśmy zrównani w cierpieniu i walce, bo wróg i śmierć jednakowo nam grozi. Wojna żąda odwagi, a odwaga jest cnotą, którą się zdobywa wysiłkiem wyrzeczeń. Daruj, królu, ale noc spędzona u Betsabei byłaby raczej czymś, jak zdrada mojej wierności żołnierskiej.

**Dawid:** Co powie Betsabea, gdy się dowie, że nie chciałeś jej zobaczyć?

**Uryjasz:** Betsabea nie dowie się, a jeśli się dowie — zrozumie. Niech ci się nie zdaje, królu, że nie wyrwam się do niej i że nie pragnę jej zobaczyć. Nie mogę patrzeć na światło w jej oknach. Kocham Betsabę i wiem, że trudno o miłość tak całkowitą, tak wielką, jak moja!

**Dawid:** Nieprawda!! Nie kochasz tak Betsabei, jak mówisz, bo poszedłbyś do niej, obalając wszelkie zapory, wszelkie przyzwoicia. Obalając nawet prawo!

**Uryjasz:** Królu! Prawo jest święte. Nigdy prawu nie stanę naprzeciw!

**Dawid:** Choćby nawet szło o Betsabę?

**Uryjasz:** Nawet o nią! Nie złałbym prawdy dla Betsabei, bo Betsabea...

**Dawid:** (coraz groźniej) Co Betsabea?

**Uryjasz:** Betsabea nie da mi do tego powodu. Nigdy.

**Dawid** (odwrócił się do okna).

**Uryjasz:** Betsabea nie kłamie, jest prosta, dobra i wierna. Wie, że prawo wierności, ustanowione przez ciebie, jest święte. Kocham Betsabę, królu — i naprawdę nie wiem, czy można bardziej kochać kobietę. Nie mam żadnych obaw, ufam jej całkowicie i nie mogę pomyśleć, abym kiedykolwiek z jej powodu mógł być w niezgodzie z prawem.

**Dawid:** Są prawa serca, Uryjaszu, które niosą nas dokąd chcą. To pięknie, że nie chcesz łamać prawa, które jest święte. Nie wiem, czy Betsabea pochwali twoją niezłomność.

**Uryjasz:** Betsabea jest zawsze tego zdania, co ja. „Jeśli ty tak mówisz, Uryjaszu, — powiada — to dla mnie jest święte”. Nie ma ona wielkiego wykształcenia, królu, i wszystko co wie, to ode mnie.

**Dawid:** Uczysz ją tedy prawa.

**Uryjasz:** Uczę ją praw tego kraju i czytam jej księgi święte, w których jest wiele wzniosłej mądrości. Połowa tych ksiąg, to twoja wielka historia, królu, twoje czyny, sławne bitwy, cudowne pieśni, a nade wszystko rozumne zarządzenia.

**Dawid:** Czy naprawdę rozumne? Sądziłem, że w oczach cudzoziemca, jak ty, nie wszystko wydaje się zgodne z rozumem. Choćby to prawo o wierności, które jest walką z cudzołóstwem.

**Uryjasz:** Jest to prawo święte, o którym mówią, że postawił cię

Bóg, jako Anioła na straży serc. Żołnierze na wojnie są pewni swych kobiet, których strzeże twój urząd królewski. Kochają cię żołnierze, nie mniej, niż kocha cię cały kraj. Anioł na straży serc, mówią o tobie. Czy to nie tytuł miłości? Czy to nie tytuł największej chwały?

**Dawid:** Tytułem mojej największej chwały — powiadają — jest muzyka, Uryjaszu. Muzyka to także mowa Anioła i straży serca. Muzyka jedna wie o tym prawdę, gdyż otwiera serca, które zazwyczaj zamknięte są dla świata.

**Uryjasz:** Muzyka, królu, muzyka, jeśli tak jest, czyni to właśnie, że potrafiłeś otworzyć dla siebie serce całego narodu. Wiem o tym, jak jest wśród żołnierzy, nawet wśród cudzoziemców, którymi dowodzę. Umierają z twoim imieniem na ustach, a imię twoje „Dawid” oznacza dla nich tyle, co Bóg. Zegnają świat i ciebie i twój obraz zatrzymują pod powiekami.

**Dawid:** Widzę ich także przed oczyma, bo niejedną bitwę sto-

ny z Moabitami. Oslaniając mnie, sam wtedy zostałeś ranny.

**Uryjasz:** Oddałbym życie za ciebie, królu!

**Dawid:** Oddałbyś życie? Więc, gdybym zażądał, Uryjaszu...

**Uryjasz:** Dałbym ci dowód mojej miłości, której nie ufasz. Jesteś wielki, Dawidzie, wielkością trudną do nazwania. Jesteś wielkim wodzem, który nie poniósł klęski, wielkim mężem narodu, prorokiem i dawcą prawa! Jesteś wielkim pieśniarzem i natchnionym poetą. Nikt się przed siłą twojej wielkości nie zdoła obronić. Trzeba cię wielbić i kochać. Szczęściem mojego życia jest to, że mogę być blisko ciebie. Mogę cię słuchać, jak w tej chwili i mogę patrzeć na ciebie.

**Dawid:** Uryjaszu, ranisz mi serce. Ranisz dlatego, że zbyt ufna i zbyt gorąca jest twoja miłość do mnie. Nie jestem jej godzien, Uryjaszu.

**Uryjasz:** Królu. — to cząstka zaledwie, którą ośmieliłem ci oddać.



czyliśmy razem. Dzielne wojsko. Dzieją się cuda, gdy ich zapalić i zakląć ich w imię Boga!

**Uryjasz:** W imię twoje, królu.

**Dawid:** Nieraz była ich garść na przeciw potężnych armii. Filistyni na przykład, śmieli się z naszych żołnierzy obdartych i nędznych. A potem musieli uciekać! Nie ma takiego wojska na świecie, Uryjaszu!

**Uryjasz:** Nie ma takiego króla, jak ty, Dawidzie.

**Dawid:** Czy mówisz prawdę? Nie jest to tylko pochlebstwo cudzoziemca? Wiedz, Uryjaszu, że nie ufam, gdy mówią mi słowa miłości.

**Uryjasz:** Dałem ci już dowód swojego przywiązania, o czym świadczy moja wierna służba żołnierska.

**Dawid:** Cenię twoją wiedzę wojskową i twoją waleczność. W zwycięstwach nad Filistynami wiele tobie zawdzięczam. Winienem ci także życie, podczas woj-

**Dawid:** Gdybyś teraz poszedł do Betsabei, powiedziałbym ci, że cię prawdziwie kocham, Uryjaszu. Bo masz w sobie wszystko, co w człowieku jest cenne i co zniewala, a co także trudno wysłowić. Myślę o tobie często, pułkowniku. Kto wie, czy nie wezwałem cię tutaj z prostej i ludzkiej potrzeby serca.

**Uryjasz:** Królu, — jestem bezradny, nie wiem, co rzec. Nie łatwo mi to ogarnąć, co mówisz.

**Dawid:** Mam, Uryjaszu, teraz trudne i ciężkie chwile. Nie poniosłem żadnej klęski w tych licznych wojnach, jakie prowadziłem. Sam mi to przypominałeś.

**Uryjasz:** Tak. Stoisz teraz, królu, u szczytu potęgi na wierzchołku najdalszym, co nie zdarza się często w historii królów. Wojna z Amonitami, którą wygramy, da ci potęgę, jakiej nikt nie ma na ziemi.

**Dawid:** Być może. Ale w moich oczach wygląda to nieco inaczej.

Jestem sam, Uryjaszu, i czuję, jak zbliża się nieszczęście.

**Uryjasz:** To niemożliwe, królu. Twojej potędze nic już nie zagraża.

**Dawid:** Ale zagraża człowiekowi, imieniem Dawid. Proszę cię, Uryjaszu, idź do Betsabei. Betsabea czeka i tęskni. Betsabea łamie ręce z rozpaczy.

**Uryjasz:** Czy chcesz, królu, zakończyć ze mną rozmowę? W takim razie odejdę i będę czekał na twoje rozkazy w pałacu. Do Betsabei nie pójdę.

**Dawid:** Chciałeś mi oddać życie, gdybym zażądał. A teraz odmawiasz mojej woli — mojej prośbie, Uryjaszu.

**Uryjasz:** Oddam ci życie, królu w każdej bitwie na wojnie. Będę cię bronił przed każdym nieszczęściem.

**Dawid:** Przed każdym?

**Uryjasz:** Przed każdym. Betsabea nawykła do czekania i nie tęskni tak, jak myślisz, ani nie łamie rąk nad głową. Gdybym przyszedł teraz do niej, byłaby może zdziwiona. Wie, że wrócę, gdy wojna się skończy.

**Dawid:** A jeśli nie wrócisz?

**Uryjasz:** To znaczy, że poległem dla ciebie. W każdej chwili, królu, gotów jestem umrzeć, jeśli tego zażadasz.

**Dawid:** Być może, że tego zażadam. Nie patrz tak na mnie. Nie byłem dotąd zbrodniarzem i nie zabiłem nikogo (krzyczy). Nie byłem zbrodniarzem!!! (opanowuje się). Ale jest tak, Uryjaszu, że ze szczytu łatwo się spada w dół. Pan zastąpił się chmurą i zamknął mi serce dla siebie. Oddała się niebo, które dotąd mówiło ze mną pieśniami Aniołów. Nie ma nikogo, Uryjaszu. Na tym wierzchołku stoję sam i na nic mi uwielbienie narodu.

**Uryjasz:** Na nic? Królu!

**Dawid:** Na nic. Nie ominę nieszczęścia, ani nie uniknę klęski. Człowiek, Uryjaszu, to kruche naczynie Pana. Nie chroni go żadna potęga, choćby stał na wzniesieniu najdalszym, jak ja. — jeśli nie ma nad sobą skrzydeł Anioła.

**Uryjasz:** Nad tobą, Dawidzie, roztacza Pan promienie swoich rąk. Jest wiele twoich pieśni o ufności i o nadziei. Są to pieśni — modlitwy, które śpiewa naród i które śpiewa każdy człowiek z rana, lub przed nocą. Kocha cię Pan, Dawidzie i uczynił cię swoim prorokiem. W pismach zakonu napisano, że powierzone ci zostały tajemnice nieba i tajemnice ziemi. Czy słuchasz mnie, królu?

**Dawid:** Patrzę na oświetlone okna Betsabei i widzę cień jej, który drży na ścianach. Czy nie chcesz zobaczyć cienia Betsabei?

**Uryjasz:** (milczy).

**Dawid:** Zobacz. Może to ostatni raz spojrzysz na okna swego domu?

**Uryjasz:** (milczy).

**Dawid:** (rozkazująco) Zobacz!

**Uryjasz:** (wolno idzie do okna. Nie chce patrzeć, rękami zastonił twarz).

**Dawid:** Płaczesz? Rozumiem, Betsabea, to nie tylko szczęście, Betsabea, to cierpienie.

**Uryjasz:** W oknach nie ma nikogo. Płaczę z żalu, bo cierpisz, królu, i nic ci pomóc nie mogę.

**Dawid:** Naprawdę nie zawiniłem temu cierpieniu. Nie jestem winien. Pan tak chciał. Pamiętaj, Uryjaszu, abyś odchodząc stąd powtarzał, jak motyw pieśni: „król jest niewinny”, „król jest

niewinny”. (Król ujął głowę w dłonie. Słychać pieśń. Obaj trwają w zaskłaniu).

**Dawid:** To śpiewa cudzoziemiec z Zachodu. Nie słuchaj tej pieśni, to jest pieśń zła.

**Uryjasz:** To jest zwykła, ludzka pieśń o miłości. Cudzoziemiec jest młody i daje pieśnią ulgę swemu sercu. Nic więcej.

**Dawid:** To jest pieśń o miłości, która prowadzi do zbrodni. Nie zabiłem nikogo, Uryjaszu. A jeśli bym zabił? Mam czyste ręce, nie unurzane we krwi, ręce pokropione hyzopem. Ręce święte. Pójdź tu, do mnie, Uryjaszu. Niech cię obejmę. Chciałbym cię kochać i móc cię nazwać synem. Lub bratem. Dobrze jest patrzeć w twoje wierne, żołnierskie oczy. Są podobne do oczu Betsabei. Czy nie czujesz nieszczęścia, Uryjaszu?

**Uryjasz:** Nie, panie.

**Dawid:** To dziwne. Jest ono blisko, nieomal na odległość ramienia. Mam mrok w oczach, a mimo to widzę, jak spadam w dół. Nic mnie nie powstrzyma, Uryjaszu!

**Uryjasz:** Naszła cię choroba, królu. Trzeba, abyś odpoczął. Jest noc. Miasto śpi. Odprowadzę cię do twojego łoża.

**Dawid:** Dziękuję ci. Nie jestem chory. Zdaje się, że rozmawiam przytomnie. Mam dar proroczy i widzę naprzód nieszczęścia. Niech cię to nie dziwi, pułkowniku.

**Uryjasz:** Nic ci nie grozi, panie. Masz naród, który cię uwielbia i armię, która cię kocha. W tej chwili toczy się wojna z Amonitami, ale przyniesie ci ona tylko zwycięstwo i powiększy twoją chwałę.

**Dawid:** Mimo to, spadam w przepaść, Uryjaszu. W otchłaim piekiel.

**Uryjasz:** Królu!

**Dawid:** Idź już! Zawezwij Etana, niech przyniesie wszystko, co potrzeba do napisania listu.

**Uryjasz:** Dobrze, panie (odchodzi).

**Dawid:** Uryjaszu! Wolałbym, żebyś mnie nienawidził. Żebyś czyhał na moją zgubę!

**Uryjasz:** Ja? Ja, królu?

**Dawid:** Ale pamiętaj, że Pan się ode mnie odwrócił. Pamiętaj, że nie jestem winien. Nie ja jestem winien! Idź już! (Uryjasz odchodzi). (Dawid w oknie. Patrzy na światła w domu Betsabei. Wchodzi Etan, Dawid siada do pisania listu).

**Dawid:** Zawezwij oficera, który tu przybył z Uryjaszem.

**Etan:** Jest obok w sali. Zaraz go zbudzę (odchodzi).

**Dawid:** (pisze) „Do hetmana Joaba — rozkaz królewski. Postawcie Uryjasza na czele bitwy najcięższej. A wtedy odstąpcie od niego z wojskiem — tak, aby będąc raniony umarł”. (wchodzi Etan i oficer).

**Dawid:** (do oficera) Zawieź ten list do hetmana Joaba. Oddaj o świcie. Prędko!

**Oficer:** Chociaż ziemia chwieje się pod moją doreczę przed światem. (odchodzi). (Słychać pieśń).

**Dawid:** Słyszysz, Etanie? Jest to pieśń o miłości i o śmierci. Pieśń żalobna. Już się stało. Stać się zaczęło. Splemiłem ręce, pokropione hyzopem. Złamałem prawo święte i prawo królewskie!

**Etan:** Ależ królu! Pan jest z Tobą. I Pan nie odwołał od ciebie swoich aniołów.

**Dawid:** Dlaczego nie śpiewają psalmsi?! Dlaczego nie wzywają pomocy Pana?! Dlaczego zamknęło niebo??!

Koniec aktu II-go

Jerzy Zawieyski



## Z poezji Kazimierza Piekuta

SUMA JASKÓLEK

Zebrak, który porzucił dom własny,  
wyklecał piasek pod krzyżem przy drodze,  
Jaskółki, tłuste muszki w locie łowiąc,  
rzeźbią skrzydłami w powietrzu  
twarz niedzielnej pogody.  
Wiatr opadł bryłą ciepła na rozdroże  
— w sobie się zadumał,  
i trwa nieporuszenie jak Święty w kontemplacji.  
Z lasu wybiegły brzozy w białych komzach,  
palą się świece — maki,  
bije dwunasta na słońca zegarze.  
Południe.  
Na rozdrożu rozpoczyna się Suma.  
Zebrak powstał z kłęczek.  
Zanim wiatr ocknie się na Credo  
wygłosi do jaskółek kazanie  
o grzechu obżarstwa  
i o nocy miłości bliźniego.

MATKA BOSKA POLNA

Niedziela podływa do okien  
perłowymi chmurkami jaśminów.  
Jaśminy przechylają czoła wiotkie  
za obłokiem,  
który ponad wsia bez szelestu przepłynął.

Poranek przukleka w majowym zachwycie,  
na piasku ślady czyichś stóp wąskich —  
tedy chodzi do kościoła co niedziela o świcie  
Matka Boska z Dzieciątkiem.

Słowik osowiły milczy pod liściem mokrym,  
świt go zaskoczył  
zanim wyspiewał do końca miłosną piosenkę  
— noc majowe są stanowczo za krótkie —  
a może go w nocy gwiazdy urzekły.  
Matka Boska podnosi ziemi grudkę,  
która z Jej dłoni ulata skowronkiem  
w błękit.

ŚW. KINGA POD KRUCYFIKSEM

Trudno mi nosić koronę ze złota —  
złoto tak bardzo pali skronie,  
kiedy Ktoś cierpi i z miłości kona  
w ciernia koronie.

Który po morzu chodził suchą nogą,  
pioruny gasił dłońią gołą  
a rybakom przejętym daremno trudu trwożą  
jak najobfitszy dawał połów.

Chorych uzdrawiał, zmarłych wskrzeszał,  
niepłodnym matkom dawał dzieci zdrowe,  
karmił do syta głodne rzesze  
pięcioczelebem. I słowem.

ULICA

Dziewczynka z drucianym koszyczkiem w ręce stoi  
w bramie i płacze,  
bo przejeżdżający ulicą samochód ochlapał błotem  
jej różową sukienkę.  
Na bruku leży tyle zimna, wilgoci i niepogody.  
Z rynsztoka wypelza rdza i gryzie blaszaną puszkę,  
która zgubił kulawy starzec, gdy idąc z odkrytą głową  
chuchał w zgrabiałe fioletowe palce,  
a spadła na chodnik zieloną liszkę rozpedptał  
mimoходом.

Jak dobrze musi być w pokoju na piętrze.  
Za muślinową firanką  
przesiewając dobrobyt i żółty wzrok lampy  
wiszącej pod sufitem.  
przyciskając do chorych piersi wychudłe ręce,  
błady chłopiec stanął —  
jest bardzo smutny, chociaż pelargonie na oknie  
tak ślicznie zakwitły.

Gwizd fabrycznej syreny przeskoczył dachy  
kamienic i biegnie ulicą  
piskliwym ostrzem posiekał w drobne kawalki  
wilgotny spokój  
i mży na czapkę siedzącego na koźle woźnicy,  
który strzela z bicia do barokowych chmur  
atakujących wieżę ratusza  
Kazimierz Piekuta

Artur Hutnikiewicz

# FANTASTYKA

Fantastyka „czystej krwi” jest w literaturze polskiej zjawiskiem niemalże wyjątkowym. Złożyły się na to rozmaite przyczyny. Zainteresowanie dla świata abstrakcji, dla wszelkiego rodzaju metafizycznych spekulacji i marzeń było na ogół zawsze obce umysłowości społeczeństwa polskiego. Romantycy i „fantaści” w polityce, byliśmy i jesteśmy w upodobaniach artystycznych i literackich narodem realistów, ludzi trzeźwych i bardzo zrównoważonych. Nie tylko w okresie porobiorzym, kiedy to literatura przyjęła na siebie obowiązek reprezentowania i duchowego krzepienia ujarzmionego narodu, ale i w epoce pierwszej niepodległości piśmiennictwo nasze wykazywało stale najsłabszy związek z życiem, z jego aktualnymi problemami i potrzebami. Jest to literatura w pierwszym rzędzie praktyczna, pouczająca, kształcąca, dydaktyczna, posiadająca w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu, owiana szczerą i godną najwyższego podziwu troską o zdrowie moralne i społeczne narodu. A choć nie brak w niej pisarzy i dzieł, w których ów element dydaktyczno - społeczno - narodowy uległ dyskretnemu retuszowi i minimalną odgrywa rolę, to jednak i w nich przedmiotem kontemplacji twórczej bywa przeważnie rzeczywistość, świat realny i jego powszednie sprawy. Co prawda romantycy zgodnie z obowiązującą modą i upodobaniem wprowadzają i u nas do poezji motywy fantastyczne, ale czynią to w skali ograniczonej. Fantastyka jest u nich najeźwiejszym ornamentem dekoracyjnym lub metaforą, służącą celom ekspresji poetyckiej, a nawet moralizatorskiej dydaktyki. Przez cały wiek XIX, wiek Hoffmanna, Poe, Villiersa de l'Isle Adama, nie wydaliliśmy ani jednego twórcy, dla którego fantastyka byłaby dziedziną całkowicie autonomiczną, samowolną, jedynym i wyłącznym środkiem wypowiedzenia własnej treści wewnętrznej.

Przełom dwu stuleci, XIX i XX, przynosił częściową zmianę sytuacji. Powrotna fala romantyzmu i spirytualizmu rozbudza i u nas zainteresowanie dla tej niepopularnej dotąd i egzotycznej dziedziny twórczości. Mnożą się bezładnie, doskonale przykłady Poe'go i fantastów europejskich, pojawiają się oryginalne polskie próby w tym zakresie. Przybyszewski w ciągu całej swej działalności nie może się wyzwolić spod uraku demonologii średniowiecznej, opanaty lucyferyzmem Mięciński buduje swoje kryształowe zamki i nadzwyczajne kasztelle, Antoni Lange kreśli „w czwartym wymiarze” chłodne, intelektualne konstrukcje, Jerzy Zuławski pisze wspólną księżycową trylogię w guście Wellsa i Verné'a. Około roku 1920 i w latach następnych zdobywa szerszy rozgłos Stefan Grabiński, najwybitniejsza niewątpliwie w tej dziedzinie indywidualność twórcza. Mimo to atrakcyjność fantastyki w szerszych kręgach konsumentów literatury jest nadal znikoma. Opinia powszechna traktuje ów niepopularny u nas genre twórczości wciąż jeszcze z lekceważeniem, z nieuzasadnionym pobłażaniem, jest to w mniemaniu pospolitym, albo „literatura dla dzieci”, „bajeczki” niegodne uwagi ludzi dojrzałych, albo też mające służyć chorym, dekadentycznym mózgom. Kryje się w tej uprzedzającej opinii zasadnicze nieporozumienie. Fantastyka bowiem, poważnie pojęta i z przeżycia wewnętrznego twórcy płynąca, jest całkowicie równoprawną dziedziną twórczości, spełniającą doniosłą funkcję społeczną.

W fantastyce dochodzi do głosu i znajduje częściowe zaspokojenie ów niepokój metafizyczny, właściwy każdej czującej jednostce ludzkiej. Nie chodzi oczywiście o tanią sensację, poszukiwanie ciekawostek, pomysłowe kombinacje mózgowe, lecz o tak naturalny głód poznania, tak zrozumiałe pragnienie zdobycia potwierdzeń dla ludzkich przeczuć, tęsknot i wiary. Twórca - fantasta stara się uchylić zasłonę tajemnicy, przetrząca symboliczne mosty pomiędzy światem naszej fizycznej egzystencji, a przetrwaną rzeczywistością pozazmysłową; jego fantastyczne wizje to jakby projekcje innego świata rzucane na ekran naszej wyobraźni, to próby uświadomienia i zmysłowego uplastycznienia przeczuciwanych intuicyjnie prawd.

Jest na koniec fantastyka swoistą formą odpoczynku duchowego, ucieczki od szarżyny, przytłaczającej jednoznaczności życia codziennego. Cokolwiek mówilibyśmy o konieczności związku literatury z życiem, nie możemy zaprzeczyć, że jednym z istotnych jej zadań było, jest i pozostanie tworzenie iluzji jako swego rodzaju środka terapii duchowej. Nasza świadomość, nasze władze psychiczne domagają się niekiedy od-

preżenia i wytchnienia. Literatura, a fantastyka w szczególności, przenosząc nas w imaginowane, nieistniejące światy, pozwala na chwilę przynajmniej oderwać się od trosk, przypadłości, materialnych zabiegów życia codziennego, odechnąć „innym powietrzem”. Zaspokaja w ten sposób nie fikcyjną, lecz rzeczywistą potrzebę człowieka. Negowanie tego faktu byłoby zapoznawaniem życia i jego praw na rzecz teorii.

Fantastyka, lekceważona w Polsce przez publiczność, niedoceniana przez krytyków, powinna choćby z uwagi na swą wyjątkową u nas i egzotyczną pozycję stać się przedmiotem głębszego zainteresowania jako dziedzina twórczości całkowicie uprawniająca, posiadająca za granicą olbrzymią literaturę naukową i krytyczną. Powitać trzeba przeto ze szczególnym uznaniem inicjatywę Państwowego Instytutu Wydawniczego, który w czasach szeroko lansowanego realizmu i pragmatyzmu zdobył się na wydanie wspaniałego tomu „Polskiej noweli fantastycznej” (Warszawa 1949, str. 315). Antologię przygotował do druku i zaopatrzył w przypisy Julian Tuwim, znany nie od dziś ze swych zamłowań kolekcjonera wszelkiego rodzaju osobliwości literackich, imponująca szatą typograficzną nadal publikacji Jan Marcin Szancer, ilustrując tekst świetnymi rysunkami. Antologia prezentuje nam 13 utworów 11 autorów. Już sam dobór nazwisk jest niezwykle interesujący. Obok bowiem autorów, którzy od dawna znani są ze swych fantazjotwórczych skłonności i upodobań, takich jak Józef Bohdan Dziekoński, twórca „Sędz wojna”, Władysław Łoziński, Jan Potocki, występują tu w nowej, a nieoczekiwanej roli filozof Karol Libelt, historyk literatury i zasłużony fundator Józef Maksymilian Ossoliński, historyk literatury Lucjan Siemiński, znany niegdyś satyryk i dziennikarz Włodzimierz Zagórski, Henryk Rzewuski, Józef Dzierżkowski, Józef Korzeniowski i zapomniany miłośnik folkloru Jan Barszczewski. Jak świadczy ów rejestr nazwisk wydawca zebrat w tomie okazy starszej nowelistyki fantastycznej, zapomniane pierwociny gatunku z I połowy XIX stulecia. Niewątpliwie antologia fantastyki nowszej byłaby ciekawsza, ostatnie dziesięciolecie przyniosło bowiem szereg utworów, które śmiało wytrzymałyby próbę porównania z najświetniejszymi okazami literatury tego rodzaju za granicą, lecz mimo to antologia Tuwima posiada olbrzymią wartość jako w pewnym sensie dokument historyczno - literacki, metryka i świadectwo pewnych wątplych co prawda, niemniej jednak rzeczywistych tradycji, jakimi wykazała się może polska literatura fantastyczna w przeszłości.

Większość opowiadań, zawartych w tomie, reprezentuje typ fantastyki właściwej epoce sentymentalizmu i wczesnego romantyzmu. Nie jest to fantastyka integralna, odkrywczą, psychologiczną, jak u Poe'go, wywodząca się z zadumy nad ludzką duszą, jako niezgłębionym źródłem dziwności i tajemnic, lecz fantastyka dosyć zewnętrzna, obracająca się w granicach obowiązującej wówczas konwencji literackiej, czerpiąca z bogactw mitologii demonologii ludowej bez szerszej wiary w prawdziwość i rzeczywistość tego irracjonalnego świata. Tajemnicze zjawy i widma, dusze pokutujące w ścianach domostw lub w lochach średniowiecznych zanków, diabły i czarnoksiężnicy opętani marzeniem o filozoficznym kamieniu, całe to pandemonium wywodzące się z głęboko tkwiących w przeszłości tradycji europejskiej literatury ludowej, służy tu przede wszystkim celom zaspokojenia głodu niezwykłości, niekiedy odgrywa nawet rolę dość podrzędną i marginesową, jak np. w doskonałej skąd inąd opowieści awanturkowej Libelta o żądnym bogactw i sławy młodym Anastazju. Zgodnie z upodobaniami wyobraźni ludowej ów świat „niesamowitych dziwów” przedstawiony jest czasem w świetle komicznej groteski. Motyw „pani Twardowskiej”, przebiegłej jeźdźnicy - sekutnicy, z którą nie tylko człowiek, ale i diabeł dać sobie rady nie może, powtarza się w zmodyfikowanym kształcie w humoreskach Siemińskiego i Ossolińskiego. Fantastyka służy też w kilku wypadkach celom zgola pozaartystycznym, „niesamowita opowieść” staje się w istocie zamaskowaną przypowieścią moralistyczną, pouczającą parabolą, przypominającą odwieczną i zawsze aktualne prawdy (np. „Naroźna kamienica” Korzeniowskiego, „Zachariaszek” Barszczewskiego).

Wylamują się z tych konwencji zakreślonych granic dwa opowiadania, przewyższające całą resztę zarówno oryginalnością tematyczną, jak sposobem

artystycznego opracowania. Wspomnieliśmy już o tym, że fantastykę nowszą cechuje swoisty antropocentryzm, zwrot ku jaźni ludzkiej, jako źródłu najbardziej zastanawiających fenomenów. Tajemnicze stany z pogranicza jawy i snu, marzenia i hipnozy, zagadkowe procesy psychofizyczne graniczące o miedzę z obłędem i genialnością, patologiczne odchylenia odbiegające od normy są przedmiotem jej szczególnego zainteresowania. I trzeba przyznać, że osiągnięcia w tej dziedzinie są zastanawiające. Stwierdzają to obiektywnie ludzie nauki nie z literaturą nie mający wspólnego. We wspaniałej „Psychiatrii” Frostiga napotykać co krok na dowody prekursorskiej wprost roli literatury w odkrywaniu niedostępnych do niedawna poznaniu naukowemu zjawisk życia psychicznego. Do tego własnego rodzaju odkrywcy fantastyki zbliża się krótkie opowiadanie J. B. Dziekońskiego „Duch jaśmini”, opowieść o tajemniczym, obłąkanym skrzypku, który co noc pojawia się w skalistej grocie skorociekiej, aby odtworzyć słowami muzyki raz jeszcze tragiczne dzieje swego życia. „Geniusz czy obłąkaniec”, niepokojące pytanie rzucone niegdyś przez Lombrosa, zostało tu sformułowane przez Dziekońskiego na wiele lat przed włoskim psychopatologiem, ukazane w artystycznym skrócie za pomocą kontrastu pomiędzy snobistycznym, płytkim, żądnym taniej sensacji i rozrywki, zdrowym towarzystwem wycieczkowiczów, a tym godnym, w ich mniemaniu, politowania szaleńcem - wirtuozem, który swoją genialną sztuką potrafi wywołać lzy szczerze wzruszenia nawet w najbardziej pospolitej, puste i banalnej kobiecie.

Przykładem fantastyki głębszej, psychologicznej, wyrastającej z obserwacji rzeczywistości istniejących, aczkolwiek dotąd niewyjaśnionych całkowicie fenomenów psychofizycznych, jest też szkice powieściowy Józefa Dzierżkowskiego pt. „Lekarz magnetyczny”. Jak tytuł wskazuje ośrodkiem tematycznym pomysłu było dla autora zagadnienie tzw. magnetyzmu vel mesmeryzmu (od Mesmera, twórcy tej nieco szarlataneria salatujującej metody leczenia nowroz i schorzeń psychicznych), który dla ludzi pierwszej połowy XIX stulecia był taką samą pasją i snobizmem, jak psychoanaliza dla wieku XX. Z historii o niegodnym adeptcie wiedzy tajemnej, który odrzuca wezwanie Mistra dla miłości uroczej, lecz zmiennej dziewczyny, aby doczekać się zbyt rychło ruiny swoich marzeń o szczęściu, potrafił stworzyć Dzierżkowski małe arcydzieło. Sugestywna charakterystyka psychologiczna postaci, zwłaszcza demonicznego lekarza, mistrza ezoterycznej wiedzy oraz niedoświadczonego ucznia, romantycznego młodzieńca porażonego po uszy w pierwszej, idealnej miłości ku sentymentalnej, lecz płochy dziewczynie, świetnie, umiejętnie operowanie nastrojem, doskonale ukształtowanie dynamiczne, wyzyskujące dla spotęgowania ekspresji wszelkie możliwości i konsekwencje płynące z irracjonalnego założenia utworu, wszystko to razem złożyło się (mimo pewnych dłużyzn i afektacji stylu, usprawiedliwionych manierą epoki) na pełną niezwykłego uroku, wdzięku i tajemniczości romantyczno - fantastyczną opowieść.

Reasumując te uwagi stwierdzić należy, że „Polska nowela fantastyczna” jest przedsięwzięciem wydawniczym ze wszechmiar udalym, z jednym tylko małym zastrzeżeniem, które należy skierować pod adresem wydawcy. Książkę zamykają zwięzłe informacje bio- i bibliograficzne o autorach antologii. Treść tych notatek budzi jednak pewne wątpliwości. Są to bowiem wiadomości znane z podręczników literatury, a z tematyką antologii niczym nie związane. Bardziej celowe byłoby może dać w posłowiu zarys, choćby najbardziej zwięzły, rozwoju fantastyki polskiej, przegląd najważniejszych i najznamienniejszych motywów tematycznych, wskazać na ich filiację i pokrewieństwa europejskie, zestawieć wreszcie małą bibliografię przedmiotu. Tak pojęte posłowie byłoby może bardziej celowym wprowadzeniem, czy uzupełnieniem lektury, orientowałoby w przedmiocie i zaspokajało w wyższym stopniu ciekawość czytelnika, który by pragnął zapoznać się bliżej z tą interesującą, a egzotyczną na ubogiej polskiej glebie dziedziną twórczości.

Artur Hutnikiewicz

Czytajcie  
„Słowo Powszechne”



Eugeniusz Pauksta

# Analfabetyzm, kancjonał i „Mury Jerycha”

Ziemia za warszawską miedzą (III)

Starą Dobaczkową wciągnięto na listę analfabetów, mających w najbliższym okresie osiąść złożoną sztukę czytania i pisania. Spoglądam na mizernego wzrostu kobiecinę, mocno już przygarbioną do ziemi. Spod brudnawej chusty na głowie wymykają się kosmyki źle rozczesanych, siwych włosów. Ręka drobna, wyschnięta, z siakaniem uciera nos. Z pomarszczonej twarzy niespokojnie spoglądają na mnie wyblakłe oczy.

— Panok, a czy to konieczne, na moje lata, nie dam rady... — szepce z jakimś żalem serdecznym i bojaźnią.

— Nie bardzo wiem, co mam jej odpowiedzieć. Dobaczkowa, choć się już wnuków doczekała, nie jest taka znów stara, na jaką wygląda. Dobiega dopiero sześćdziesiątki. Twarde życie zniszczyło ją przedwcześnie. Ale pracuje nadal na gospodarstwie synowskim, nie narzeka, nie stęka.

Rodzina ta pochodzi z głębokiego Polesia, gdzieś z okolic Dawidgródka. Kto znał kiedyś tamte strony, wie, jak się tam żyło, zna prymityw śródbłotnego bytowania. Ale zna też i minimalne wymagania tamtejszych ludzi od życia.

Dobaczek, syn starej, też nie umie pisać. Syn jego najstarszy, coś się tam ongiś w jednoklasówce nauczył, ale już zdażył zapomnieć. Tyle, że jeszcze za ojca i się bie podpisać się w urzędzie potrafi. Woli jednak zawsze od tego ciężkiego wysiłku zaoranie choćby i pół hektara ziemi. To umie, to idzie mu skądnie i łatwo. Najbardziej „uczona” w tym towarzystwie jest żona Dobaczka. Ma za sobą aż trzy oddziały szkoły powszechnej. Dwaj jej młodszy synowie uczą się w szkole podstawowej.

Dobaczek i jego syn najstarszy (powrotny analfabeta), wyrzekając to wyrzekając, ale chętnie wreszcie spoglądają na czekającą ich naukę. Ojciec początkowo się wstydział, dał się jednak przekonać. Problem jest ze starą Dobaczkową. Kobiecinnie już nie wiele na tym świecie zostało. Gdzie jej dzisiaj do nauki! Możeby tam i chciała w kościele „na książkę” się pomodlić, ale i tak przecie po swojemu potrafi z Bogiem rozmawiać... Głowi się więc babina nad tym problemem, a wraz z nią cała rodzina. Wtargnęło w ich życie coś nowego. Dawno już wyrzekli się myśli, by nauczyć się jeszcze czytać i pisać. Aż tu raptem. I masz tobie, jeszcze pod przymusem...

— A chaj ciebie chwaroaba... — pół z gniewem, pół z zażenowaniem spluwa wreszcie pod nogi stara.

Oto autentyczny obrazek ze spraw kultury na Mazurach. Od podstaw. Od fundamentów. Sprawa kultury na pierwszym stopniu.

W roku 1948 Wojewódzka Rada Kultury w Katowicach przeprowadziła niezmiernie ciekawą próbę w ramach akcji upowszechniania kultury na Opolszczyźnie. Mianowicie, za sumę kilkunastu milionów złotych (przy jednoczesnym poważnym rabacie księgarskim) zakupiła książki i rozprawała je w terenie głównie wiejskim całkiem bezpłatnie. Książka skierowana została nie na tereny Śląska przemysłowego, ale na Opolszczyznę, głównie pomiędzy ludność rodzimą tej zie-

mi. Nie znam, niestety, bliższych szczegółów całej akcji, nie znam przede wszystkim wniosków końcowych tej imprezy. Z tego jednak, co mnie doszło, wnioskuję, że efekty konkretne były. Może nie od razu, ale były. Książka polska trafiła pod strzechę wiejską. Dodajmy, że pod tą strzechę, gdzie po dziś dzień nie trudno się natknąć na komplety polskich pism, na wydawnictwa Związku Polaków w Niemczech, na polskie odznaki i legitymacje. Grunt był nowy, ale nie był ugięty. Książka, darowana szlachetną ręką, była czytana. Nie przez wszystkich, ale przez poważną w każdym razie część obdarowanych. Teren wchłonał kilkanaście tysięcy egz. książki polskiej. Akcja została obecnie zaniechana. Wydaje mi się, że najnieśluszniej w świecie. Kto wie, czy tu nie tkwił jeden jeżeł nie z kluczy, to przynajmniej kluczyków problemu.

Książka, która kosztuje, na którą trzeba wydać konkretną sumę, nie prędko przyjdzie na wieś opolską, a co dopiero na mazurską, gdzie skala życia jest o wiele niższa (abstrahując tu od terenów Polski centralnej, gdzie istnieją poważne in plus różnice w tej dziedzinie). Wieś mazurska nie ma dziś jeszcze pieniędzy na książkę. I nie prędko będzie je miała. Zagadnienie nie leży bowiem w tym, że jednocześnie jednak znajdą się pieniądze na wódkę. Mazury wcale nie są najmniejszą pozycją dochodową w budżecie Mołopolu Spirytusowego! Sens leży w tym, że do wódki jest pociąg, a do książki tego pociągu nie ma. Książka jest, niezależnie nawet od swej, choćby groszowej ceny, tym luksusem, bez którego można najzupełniej się obejść. Natomiast nie wiem, czy próba uczy-niona na Śląsku Opolskim, nie jest jednym z najlepszych sposobów wzbudzenia psychicznego zainteresowania książką. Mowa jest o aktualnym momencie rozwoju spraw kultury, jaki jest obecnie. Na efektywy szkół, kursów przeróżnych, świetlic wiejskich itp. przyjdzie jeszcze niewątpliwie długo czekać. Książka, rzucona bezpłatnie, powoli zacnie kursować, znajdować czytelników. Zacznie po prostu żyć.

Do próby śląskiej możnaby wprowadzić różne inowacje. Niech książka stanie się nie czymś w rodzaju przymusowego daru, ale pewną atrakcją, o której zdobycie trzeba się pokusić. Czyby nie warto było przy systemie premiowania w rolnictwie, dołączyć do każdego wyróżnienia, do każdej nagrody także i premii w postaci książki? Przy kontraktowaniu uprawy lnu czy buraków cukrowych, czy w ramy wynagrodzenia nie wliczyć choć jednej, dwu książek? Beletrystykę przemieszać z fachowymi pracami rolniczymi, zmusić czytelnika w ten czy inny sposób do pozyskania książki, a z kolei do jej przeczytania. Chłop polski inaczej patrzy na rzecz ofiarowaną mu ni stąd ni z owąd, a całkiem inaczej na to, co z wolą swoją czy nie wolą, ale zdobył własnym wysiłkiem...

Jan Papucewicz należy do najzamożniejszych gospodarzy w powiecie wegorzewskim. W domu jego dostrzega się już pewien stosunkowo wysoki poziom kultury, nie tylko materialnej ale i duchowej. Papucewicz jest działaczem „Samopomocy Chłopskiej”, prenu-

meruje „Gromadę” a też i „Życie Olsztyńskie” i „Rycerza Niepokalanego”. Sam lubi w niedzielę „zajrzeć w drukowane”, syna kształci w Olsztynie, córka, mająca za sobą siedmioklasową szkołę powszechną, nie widzi świata poza czytaniem. Studiuje gazety od deski do deski, wypożycza książki w bibliotece parafialnej i w ruchomej objazdówce powiatowej. Ojciec specjalnie nie protestuje, imponuje mu to. Sam, bywa, zajrzy od czasu do czasu do przyniesionej przez córkę książeczki, po prosi, by mu coś przeczytała w wolnej chwili. Ale... Oto Papucewiczówna przy którymś pobycie w Kętrzynie kupiła sobie książkę w księgarni. Za własne pieniądze. Książkę z działu beletrystyki. Ten sprawunek wywołał w domu piekło. Papucewicz nie mógł córce darować niepotrzebnego wydatku. Gdyby kupiła sobie jakieś wstążki czy korale, słowa by nie powiedział. Ale książkę...! Nawet nie fałszywą, bo jedną tam czy drugą o pielęgnowaniu sadu lub chowie owiec sam nawet przyniósł z „Samopomocy” do domu. Taka miała być wartość. Tamta — żadnej.

Zjawisko charakterystyczne. Pamiętajmy przy tym, że dom Papucewiczów stoi na dość wysokim stopniu kulturalnym.

Wniosek: — na dostanie się książki na wieś drogą zakupu nie ma nawet co liczyć. Trzeba szukać innych sposobów.

Dotąd mówiłem tylko o ludności napływowej. Inny wymiar, nie tyle zewnętrzny, ile psychiczny, posiada ten sam problem wśród ludności rodzimej Mazur i Warmii. Trzeba przyznać, że pisanie o sprawach kultury w tym wypadku jest nieco żenujące. Ziemia mazurska i warmijska mają bowiem piękną kartę w dziejach naszej kultury narodowej. Ba, na pewnych odcinkach były nawet kolebką pewnych poczynań kulturalnych w języku polskim. Głębiej nie rozwijając zagadnienia, wspomnieć tylko mimochodem tu warto o złotym wieku XVI, gdy nowinkarstwo religijne zakładała baza w Królewcu i stąd prowadziła walkę religijną, przyczyniając się niebywale do rozwoju naszej literatury. Jak również o efektywach kulturalnych polskich na Warmii. A grubo już później, w 1718 r. w Królewcu pojawia się pierwsze stałe pismo periodyczne w języku polskim, „Pocztą Królewiecką”, wydawane przez imię pana Jana Dawida Cenckiera...

Potem dopiero przychodzą czasy pogardy, zahamowane zostają możliwości rozwoju kultury polskiej. Ale pęd ku niej pozostaje. Na tej bazie buduje, coraz bardziej ograniczany, ruch umysłowy polski, na niej też opiera akcję germanizacyjną wyrafinowany cynizm pruski.

Wśród Mazurów, wyłączając może najstarszych, nie ma prawie analfabetów. Wszyscy czytają płynnie, piszą też niezgorzej. Mało, nie tylko umieją, ale nawet lubią czytać. Sedno sprawy tkwi w tym, że, znowu z wyjątkiem nielicznych, po niemiecku. Warunki zdobycia polskiego języka w piśmie nie istniały. Taki stan zastaliśmy na tych ziemiach w roku 1945. Sytuacja dziś wygląda inaczej. Kursa repolonizacyjnej, lubo nie wszędzie i nie do wszystkich dotarły, nauczyły języka polskiego w mowie i piśmie. Rozwinięcie tych umiejętności zależało więc od dostarczenia odpo-

wiedniej lektury, ciąg do czytania bowiem istniał stosunkowo mocny. I tutaj sprawa staje się znów nieco drażliwa...

W wielu rozmowach przeprowadzonych z Mazurami w ostatnich latach, rozmowach, w których, zanim się dotarło do akcentów prawdziwej szczerości, należało przed tym żmudnie przełamywać opory bojaźni, lęku i nieufności — spotkałem się z tęsknotą do „swoich druków”. Chodziło im o tzw. cziönkę krakowską, inaczej nieślusnie zwaną szwabachą, w jakiej wychodziły tu ostatnie pisma polskie. Chodziło też o nastawienie pisma, o ton, formę, wyprawę, o specyficzne podejście do tematu, o umiejętność podania pieczeni duchowej w takim sosie, w jakim zwykły ją Mazur był widzieć. Ta tęsknota nie została po wojnie zrealizowana...

Po chatach mazurskich niewiele zostało druków polskich. Prawie że wcale. Uprzednio przesładowania niemieckie, potem zawie rucha wojenna, wreszcie okrutna akcja rabunkowo-szabrownicza — zniszczyły i te resztki, które kryły się gdzieś jeszcze na strychach, na dnie szuflad, w jakichś komorach. Tylko w wioszczynie nieopodal Mikołajek udało mi się kiedyś znaleźć w domu starego rybaka dwa numery „Mazura” bodaj z okresu przedplebiscytowego oraz ciekawy, niestety, cząstkowy tytuł egzemplarz pracy Turowskiego „Klucz do bardzo ważnych tajemnic”, pełen prorocत्व, zamawiań od chorób, wróżb kalendaryzowanych itp.

Nocowałem u starego rybaka. Przy lampce naftowej siedziałem późno w noc, wertując znalezione na jakiejś plebanii ciekawe akta kościelne, pisane w języku niemieckim. Plik gazet i czasopism leżał na stole. Gospodarz mój przysiadł się do nich dyskretnie, studiował je przez długi czas, raz po raz przecierając okulary, pomrukując, jakby niezadowolony. Po polsku czytał niezgorzej, acz z pewnym wysiłkiem. Wreszcie sięgnął po wspomniane numery „Mazura” i wskazując na nie palcem zapytał, dlaczego teraz „Mazur” nie wychodzi? Należałem do tych, którzy w swoim czasie interesowali się nieco wznowieniem „Mazura” i „Gazety Olsztyńskiej” Pieniężnego. W pytaniu starego, które wróciło potem do mnie z różnymi ust mazurskich jeszcze kilkakrotnie, znalazłem potwierdzenie naszych sądów. Proces repolonizacyjny, wciągnięcie ludności rodzimej Mazur w krąg polskiego oddziaływania byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby czynić to zaczęto przy pomocy wznowionych pism, mających jeszcze żywą tradycję w starym pokoleniu, i gdyby także ich forma wewnętrzna odpowiadała dawnym wzorom, wypróbowanym doskonale w latach twardej walki o polskość.

Pism tych nie wznowiono. (Nie strudzonej E. Sukertowej-Biedra winie udało się jeno utrzymać dawne wydawnictwo „Kalendaryza dla Warmiaków i Mazurów”). Argument przeciw, istotnie poważny, był ten, że wznowienie pism specjalnie przeznaczonych dla ludności autochtonicznej, rozbudzić może separatyzm, wprowadzić jakieś podziały, sparaliżować rozwój akcji repolonizacyjnej. Bez wątpienia, od zewnątrz mogło by to stwarzać takie pozory. Nie wystarczało bowiem wznowić tytuły i format, trzeba było je re-

dagować pod kątem widzenia swojej mentalności Mazurów. Dziś powstanie tych pism byłoby absurdem. Ale w latach 1945, do 1947 włącznie, było to zagadnienie pierwszej wagi, zagadnienie, które mogłoby spowodować, między innymi, i pozostanie w kraju tej części Mazurów, która zniechęcona szabrowniczymi wybrykami, nie umiająca znaleźć własnego języka w nowych warunkach, wyjechała do Niemiec, organizując się tam początkowo w „Związek Mazurów wysiedlonych z Polski” o charakterze bynajmniej nie proniemieckim. (Dopiero później Związek ten opianowany został przez żywioły nacjonalistyczne niemieckie i użyty do celów propagandy antypolskiej). Prasa polska była bowiem za trudna, za zbyt niezrozumiała dla sposobu myślenia autochtona z krainy jezior i lasów, nie odpowiadała jego typowi myślenia. W wyniku — poważny atut został przegrany. Moment zbratania Mazura i Warmiaka z powracającą na byłe Prusy Polską opóźniony został poważnie, a przy późniejszym rozwikłaniu problemu wyłoniły się do datkowej trudności, które się wprawdzie pokonało, ale których można było z powodzeniem uniknąć.

Mazurów, choć z ducha i krwi Polaków, trzeba było uczyć polskości. Niemcy mniej może potrafił tu ludzi zgermanizować, jak nastawić ich separatystycznie tak w stosunku do siebie, jak i do Polski. Była to poprawdzie dla Niemców broń mocno niebezpieczna, bowiem rozbudzony tak separatyzm szukać musiał dla siebie podstaw wyjściowych. Nie znajdował innych jak polskie i... wra cał do polskości. Tak było ze słynną historią „Cechu”, pisemka redagowanego przez Kurta Obitza w Berlinie, gdzie separatyzm mazurski (echa polityki plebiscytowej, tzw. „Mazurenbundu”) w swym rozwoju doznał do podtytułu w języku polskim: „Wiara nasza, trzymajta się...” i zdecydowanie określał swe pochodzenie od polskich przodków. Temat to wart specjalnego naukowego opracowania...

Niemniej, pojęcie Mazura, jako czegoś pośredniego pomiędzy Niemcami a Polską było dość silne i trzeba je było niwelować raczej łagodnie, nie zaś przez obławianie wiadrem polskiej wody. Tu trzeba było raczej misternej polewaczki o delikatnym sitku. Akcje gwałtowne, błędne są na ogół w sprawach narodowościowych. Ta ostra linia postępowania repolonizacyjnego, obok wspomnianych już innych, była też przyczyną nie najmniejszą lekkiego odosobnienia ludności rodzimej w pierwszych paru latach pookupacyjnych. Dziś i to zwolna zaczyna stawać się przeszłością, niemniej pokutować jeszcze będzie czas jakiś.

Zaniedbaną w olbrzymiej mierze sprawą w pracy nad przybliżeniem Mazurów kulturze polskiej, było zwrócenie zbyt małej uwagi na konieczność druku modlitewników, kancjonałów, śpiewników itp., wydawnictw typu religijnego w układzie i typie czcionki, stosowanym na tych ziemiach uprzednio. Tego typu wydawnictwa religijne miały niewątpliwie olbrzymi wpływ na podtrzymywanie polskości ziem północno-bałtyckich.

Dokończenie na str. 10



# TYDZIEŃ

I.

IV Międzynarodowy Konkurs im. Fryderyka Chopina mamy już za sobą. W poprzednim numerze ogłosiliśmy oficjalne wyniki Konkursu stanowiące bilans miesięcznego trudu młodych pianistów. Zarówno układ listy laureatów, jak i okres trwania Konkursu nasunęły szereg spostrzeżeń, których opublikowaniem trzeba by skwitować piękną imprezę.

Zacznijmy od sprawy dla nas bardzo ważnej.

Impreza zrodziła się w umyśle polskiego pianisty i pedagoga, prof. Jerzego Zurawlewa. Zgodnie z intencjami inicjatora Konkursy miały obudzić zainteresowanie młodych pianistów dla muzyki Chopina, popularyzować tę muzykę na całym świecie i stać się trwałą formą kultu Chopina.

Wydaje się, iż wszystkie te zadania Konkursy spełniają należycie. Liczba 41 pianistów uczestniczących w IV Konkursie, pianistów, którzy reprezentują duże nieraz „grupy muzyków-uczestników krajowych konkursów eliminacyjnych, świadczy o tym, że utwory Chopina mają swoje stałe miejsce w repertuarze pianistów całego świata, że w każdej szerokości geograficznej miarą talentu wirtuoza jest między innymi sposób wykonania i interpretacji kompozycji Chopina.

Magdalena Tagliaferro, członek Jury Konkursu mówiła przedstawicielom prasy zagranicznej i krajowej o wielkim zainteresowaniu, jakim się cieszy muzyka Chopina w egzotycznej nieco dla nas Brazylii. „Brazylia znajduje się w tej chwili częściowo w Warszawie”.

Mile to słowa. Tym bardziej, że nie były one tylko kurtuazyjnym komplem — pokrycie dla nich tkwi w znacznym sukcesie ekipy brazylijskiej. Przykład Brazylii mówi dużo o popularności muzyki Chopina poza granicami kraju.

Wznowienie Konkursów po wojnie świadczy o tym, że Polska pragnie utrzymać piękną tradycję, że pomysł prof. Zurawlewa będzie realizowany i w przyszłości. Specjalnie uroczysty charakter IV Konkursu wyniki stąd, iż włączono go w ramy Roku Chopinowskiego, którym naród polski uczcił setną rocznicę śmierci Chopina.

II.

Debatowano zwykle dość długo, po każdym Konkursie przedwojennym, dlaczego Polacy nie odgrywają w nim roli decydującej. Jeśli słusznie podkreśla się na każdym kroku polskość muzyki Chopina, to wynikało by stąd, że muzyka ta najbliższą będzie polskimi odzwierciedleniami. Społeczeństwo jednak przeżywać musiało gorzkie w tym względzie zawody. Jeśli weźmiemy pod uwagę cztery pierwsze lokaty z Konkursów przedwojennych (1927, 1932, 1937) to bilans polskich pianistów wypadnie dość zenująco: jedno drugie miejsce (Stanisław Szpilowski — 1927), trzy trzecie (Róża Błkin — 1927, Bolesław Kon — 1932, Witold Małcużyński — 1937). I to wszystko. Ułatwmy sobie zadanie zapożyczeniem metody od sportowców. Wprowadźmy punktowanie: 1 miejsce — cztery punkty, 2 — trzy, 3 — dwa, 4 — jeden. Ustalona na tych zasadach sumaryczna punktacja trzech przedwojennych Konkursów według narodowości uczestników wyglądać będzie następująco:

ZSRR	— 13 punktów
Polska	— 9 „
Francja	— 4 „
Węgry	— 3 „
Anglia	— 1 „

I oto drugi motyw przedwojennych dyskusji: wyraźna, zdecydowana przewaga pianistów radzieckich.

Rezultaty tych dyskusji były niktę widocznie nie możemy się doczekać na utalentowanych pianistów.

IV Konkurs winien otworzyć oczy. Otrzymałmy jasną, prostą odpowiedź: dwanaście pierwszych miejsc zajęło 8 pianistów polskich i 5 radzieckich (I nagroda — dwie osoby).

Co się stało?

Czy obniżyła się klasa pianistów radzieckich?

Czy może Polska znajduje się w tej chwili w szczęśliwym, nadzwyczajnym okresie specjalnego urodzaju na talenty?

Ani jedno, ani drugie.

Pianści radziecy raz jeszcze przekonali świat o swej wysokiej klasie. Nie widzimy również specjalnych powodów, by twierdzić, iż sukces pianistów polskich zawdzięczamy przypadkowi — mu pojawieniu się plejady nadzwyczajnych talentów. Pianści radziecy nie przegrali Konkursu — to raczej my narazicie weszliśmy na swoje miejsce.

## Jerzy Artemski

### Bilans Konkursu

Więc? Skąd się to wzięło?

Rzecz najprostsza w świecie: młodym, zdolnym pianistom polskim, takim samym (bez ujmy dla szczęśliwych laureatów tegorocznych), jakich można było znaleźć i przed wojną, stworzono warunki do wybicia się w Konkursie. Sukcesy Czerny-Stefańskiej, Hesse-Bukowskiej, Maciszewskiego — to rezultat troskliwej opieki, jaką grupę kandydatów otoczyło państwo w okresie przygotowawczym.

Przypomnijmy fakty:

1. Wyłonieni w zesiorocznym konkursie eliminacyjnym kandydaci otrzymali na okres całego roku wysokie stypendia, które usunęły troski materialne.

2. Powołano do życia Komisję Pedagogiczną (prof. prof. Woytowicz, Drzewiecki, Ekler, Hoffman, Szpilowski, Sztompka i Zurawlew), której zadaniem była troska o stałe postępy w żmudnych przygotowaniach.

3. Umożliwiono kandydatom publicznie występować w kraju i za granicą, co dało pianistom obycie z estradą.

4. Urządzono w doskonałych warunkach na koszt państwa trzymiesięczny oboz przygotowawczy w Łagowie Lubuskim, gdzie pianści ostatecznie szlifowali swe umiejętności do przedednia otwarcia Konkursu.

Wszystkie te pociągnięcia nie stanowiły nadzwyczajnego odkrycia. Tak postępował od dawna Związek Radziecki. Skorzystaliśmy z tych doświadczeń. Wyszło nam to na dobre. Odnieśliśmy olbrzymi sukces w IV Konkursie, stwierdziliśmy celowość i słuszność państwowej polityki kulturalnej. Wyjaśniła się przy tej okazji przyczyna dotychczasowych wyników pianistów radzieckich.

III.

Przebieg Konkursu wykazał bardzo wysoki poziom polskiej szkoły pianistycznej — stwierdził prof. Lazare Levy.

Opinię tę podtrzymali w miłych słowach i inni członkowie Jury: Sieriebrnikow, Arthur Hedley, Magdalena Tagliaferro.

Stało by się bardzo źle i niesprawiedliwie, gdybyśmy, oklaskując polskich laureatów, zapomnieli o ich nauczycielach, którzy pracą indywidualną i zespołową poprowadzili młodych uczestników Konkursu do tak poważnego sukcesu. Profesorowie Drzewiecki, Szpilowski, Sztompka i inni godnie podtrzymują tradycję twórców polskiej szkoły chopinistycznej Aleksandra Micałowskiego, Józefa Słowińskiego, Henryka Melcera i zmarłej już po wojnie Zofii Rabcewiczowej.

Ze specjalnym uznaniem pragniemy podkreślić owocny trud pedagogów. Społeczeństwo polskie zachowa to we wdzięcznej pamięci. Wierzmy również, że uhonorowani uczniowie wdzięczą się swą wyrazą trwałą kontynuacją pracy nad sobą.

IV.

„Konkurs, w którym bierzemy udział jako członkowie Jury — stwierdził prof. Arthur Hedley — ma wyłonić nie tylko najlepszego, z kilkudziesięciu uczestników, pianistę, ale przede wszystkim najlepszego chopinistę”.

Uwaga niezwykle celna i aktualna. Słyszeliśmy w sali „Roma” wielu doskonałych pianistów. Byli jednak między nimi i tacy, którzy nie uchwycili sensu muzyki Chopina. Znaleźli się oni prawie wszyscy między tymi, których Jury wyeliminowało w drugim etapie. Na to nie ma rady. Umiejętności pianistyczne to mechaniczna, ważna, ale nie zasadnicza część zadania wirtuoza, wprowadzającego do swego repertuaru utwór Chopina. Muzyka Chopina więcej niż jakakolwiek inna wymaga duchowej łączności od twórcy z kompozytorem. Nic tu nie zdziała powierzchowna błyskotliwość. Sztuczne kwiaty łatwo jest odróżnić od żywych. Rzecz jasna, iż zagadnienie doprowadza się w gruncie rzeczy do należytego odczucia polskość tej muzyki. Stąd, powiedzmy sobie szczerze, największe możliwości mają Polacy, określimy szerzej: Słowianie. Przedstawiciele innych narodów błędą nieco po omacku. Wysiłek duchowy i myślowy kierują na tory wydobywania z tej muzyki momentów, które nazywa się ogólnoludzkimi. Akcentuje się więc uczucia żalu, rozmarzenia, tęsknoty, buntu, miłości itd. Jest to rozwiązanie połowiczne. W muzyce Chopina

tkwią istotnie wszystkie te uczucia, o których mowa wyżej. Z małym dodatkiem: znajduje się w niej polski żal, polskie rozmarzenie, polska tęsknota... Uczucia te podane w oderwane od ich zasadniczego określenia, zawieszają muzykę Chopina gdzieś w próżni, sprowadzają ją na ścieżki przesadnego sentymentalizmu lub niezrozumiałości.



Muzyka Chopina jest ogólnoludzka — to prawda. Ale to „ludowe” podniesione w niej zostało do „ludzkości”. Aby być dobrym i opinista, trzeba szukać źródeł tej muzyki, trzeba poznać ducha polskiego. Droga, przynajmniej, trudna, ale dla wszystkich dostępna i otwarta. Tym więcej cenimy wysiłek pianisty zagranicznego, któremu udało się poznać treść tej muzyki. Dlatego gorąco oklaskiwaliśmy gości brazylijskich. Może to echa pobytu pana Baicera w tym pięknym i ciekawym kraju. Tym bardziej jednak dziwimy się każdemu polskiemu pianście, który nie trafi w pełni w ton chopinowski. Stąd dalekie nieraz od czoła lokaty pianistów polskich, skąd inąd bardzo dobrych.

Specjalne, przez swą subtelność trudne do dokładnego sprecyzowania wymagania zniechęcić mogą niejednego wirtuoza, zwłaszcza nie Słowianina. Nie po to piszemy te słowa. Z Chopinem jest podobnie jak z Szekspirem: każdy naród, każda epoka czerpie z niego piękno, rozumiane po swojemu. Protestować przeciw temu nie można. Jeśli jednak wolno było specjalistom angielskim według własnego, angielskiego sposobu pojmowania sprawy przyjmować polski festiwal sztuk szekspirowskich — mamy i my swoje prawo do wybierania i uznawania za najtrafniejszą tej interpretacji utworów Chopina, która najbliższa jest nam, Polakom.

Drobne uzupełnienie. Magdalena Tagliaferro zwróciła uwagę na zbytnią swobodę, z jaką młodzi wirtuozi traktują znaki dynamiczne ustalone przez Chopina. W tym jest przecież brak szacunku dla twórcy. Skąd się wzięło to zjawisko? Wydaje się, iż to skutki mylnego pojmowania uprawnień od twórcy. Nie jeden z wirtuołów przekonany jest głęboko, iż dzieło Chopina stanowi tylko kanwę do jego własnej twórczości. Jest to zbyt chyba daleko posunięta swoboda. Każda interpretacja, najbardziej oryginalna, najbardziej twórcza zmieścić się winna w tym, co napisał Chopin. Chopin nie zasłużył sobie na to, by go usiłowano poprawiać, by w jakikolwiek sposób uzupełniano jego dzieło. A dzieło się tak niestety w Konkursie. Słyszeliśmy niektóre utwory ze zmienioną linią melodyczną, słyszeliśmy wykonania, w których dla efektownego kontrastu, po mocnym forte następowało jakieś pianissimo, którego nie oznaczył (opin. Cieszymy się, iż ten z gruntu błędny stosunek do dzieła Chopina został we wszystkich niemal wypadkach oceniony bardzo surowo. W finałach tylko raz jeden zdarzyła się podobna historia. A i ona, jak się okazało, ujemnie wpłynęła na ocenę wykonawcy.

V.

Podkreślony został i słusznie przy jakiejś okazji olbrzymi entuzjazm młodzieży, uczestniczącej w Konkursie. Nie można się nie entuzjastycznie muzyką Chopina, mimo to zjawisko, o którym mowa, godne jest uznania. Baliśmy się, iż współzawodnictwo w ramach Konkursu doprowadzi do obniżenia tego zapasu. Baliśmy się, mówiąc po prostu, że pianści walczyć będą tylko o swoje zwycięstwo, że myśleć będą tylko o sobie. Obawy nasze nie znalazły potwierdzenia. Przeciwnie. Byliśmy świadkami, jak młodzi pianści z

byłaby bardzo silna, zdecydowanie głosujemy za bardzo poważnym obniżeniem górnej granicy wieku.

Wiemy, iż tym razem usprawiedliwiano decyzję specyficznymi powojennymi warunkami. I tylko dlatego nie zgłaszaliśmy naszego sprzeciwu uprzednio.

VII.

Smutne właściwie wnioski powinni wyciągnąć dla siebie ci pianści, którzy licząc sobie trzydzieści wiosen, pozwolili się wyprzedzić 17-latkom. Czy pesymizm ten prowadzić ma do obniżenia wiary we własne możliwości, w talent? Takie wnioski szły by absolutnie za daleko. Zagadka niepowodzenia nie jest zbyt trudna do rozwiązania. Trzeba wrócić do opinii prof. Hedleya: nie tylko pianista, ale przede wszystkim chopinista.

Spotkaliśmy w Konkursie doskonałych pianistów, którzy nie są chopinistami. O tym raz już była mowa. Trudno. W Konkursie mieliśmy typowy przykład. Pianista dużej miary, doskonały interpretator klasyków, czuje się w romantycznej muzyce Chopina nieco obco. Pianista ten znalazł się w Konkursie niepotrzebnie. To już nie był zapal, tylko upór. Porażka nie dotyczy pianisty, tylko chopinisty, pozostaje jednak porażką, zwinioną przez samego siebie, porażką zupełnie niepotrzebną. Nikt nie wierzył w jego zwycięstwo. Kto mądrzejszy, nie stracił wiary w jego możliwości na innym polu — lecz jeśli ktoś zechce kierować się tylko martwą literą wyników Konkursu?...

VIII.

Zbliżamy się do końca. Pora tedy na sprawę najważniejszą. Prof. Marx (Austria) w pięknym przemówieniu, wygłoszonym do przedstawicieli prasy powiedział: „Chopin jest jedną z wielkich sił duchowych ludzkości, które ludzkość tę jednoczą”.

Tak jest. Muzyka Chopina służy idei zblżenia międzynarodowego. Znajdujemy w niej wszystko to, co nam jest najbliższe: pierwiastek narodowy i dążenie do braterskiej łączności z całym światem. Konkurs wykazał, iż ta opinia o muzyce Chopina jest słuszna — widzieliśmy Brazylijczyków, Austriaków, Rosjan, Węgrów, Polaków, którzy tu, w Warszawie nie zatracili swej odrębności narodowej, a jednocześnie czuli się jednością wobec piękna, stanowiącego wspólną własność, wspólne dobro. Chopin zza grobu, poprzez swe dzieło współdziała z nami w walce o jedność narodów, a więc w walce o pokój. Konkurs chopinowski był więc sui generis kongresem walki o pokój.

Jerzy Artemski





# KULTURALNY

NA WYBRZEŻU

## List o malarstwie i kolorach jesieni

Trudno jest pisać o współczesnym malarstwie, a choćby o ostatnim okrzykniętym festiwalu sztuk plastycznych w Sopocie.

Sam pomysł: pokazać szerokim masom dobrą sztukę na tle pięknej przyrody — świetny. Ale tegoroczna realizacja tego pomysłu budzi pewne zastrzeżenia. W tym miejscu zaczynają się trudności i to nie tylko stylistyczne: jak delikatnie powiedzieć, że w drugiej zwłaszcza części poziom artystyczny poszczególnych wystaw był bardzo nierówny.

Zacznijmy od sumarycznego wyciecenia plusów: sztuka ludowa, ciekawym Nikiforem, Dunikowskim, wystawa książki francuskiej, a przede wszystkim retrospektywna wystawa malarstwa holenderskiego.

A teraz zastrzeżenia:

Tak zwana wystawa malarstwa francuskiego była właściwie bardzo skromnym ilościowo pokazem często niedużych prac świetnych malarzy. Kto teraz uwierzy po obejrzeniu słabego krajobrazu z drzewami Courbet'a — że był to naprawdę dobry malarz. A przecież nikomu nie zależy na tem, aby podawać w wątpliwość dorobek Francuzów XIX wieku na terenie plastyki.

Albo Czesi. Znowu skropulicy: bo to i goście i bracia słowianie itd., ale ich koloryzm (że tak ryczałtowo to powiem) był przejawem nie przemysłowym, obrazem najczęściej zle skomponowane, chaotyczne. Czy tak wygląda całe malarstwo czeskosłowackie? Naprawdę nie. Więc zły dobór ekspozycji.

U nas nie było lepiej. Roczny przegląd malarstwa wypadł raczej słabo. Faktem jest, co się mówi powszechnie szeptem, że szereg nazwisk dostojnych i historycznych brzmiało tutaj pusto (Pronaszko, Niesiołowski). Połączmy mocne punkty: Elbech, Radnicki (świeży krajobraz), Boryowski „Malanka”, Łakowski (świeży pejzaż, jeden z najlepszych obrazów wystawy monumentalnie skomponowany, nasycony w kolorze, surowy i prosty), Michałowski. Do tego dojdzie ceramika Żuławskiej i to chyba wszystko. Lepiej wyciszyć mniej niż wszystko. Musi być jakaś różnica między krytyką a katalogiem.

Myślę, że bardzo źle są recenzje z wystaw takie pełne galanterii, pisane zwykle przez niepewnych historyków sztuki. Robi się to tak: do każdego nazwiska doczepia się nie mówiąca etykieta (kapista, kolorysta, postimpresjonista itd., itd.) i potem przekładanie komplementów i przestroż. Odczuwamy tęsknotę za śmiałą krytyką artystyczną. Trzeba kogoś, kto podjąłby się roli obalenia sztucznej hierarchii nazwisk i wartości. Tak jak to kiedyś zrobił Stanisław Witkiewicz. A więc tęsknota za Witkiewiczem...

W tym miejscu ugryzłem się w pióro. Miał to być list z Wybrzeża. Więc wracamy na swoje podwórko.

Zacznijmy od młodych. Nie tworzą żadnej grupy, nie piszą manifestów, nie wypuszczają jednodniówek, nie siedzą w kawiarni, nie chodzą dziwnie ubrani. Zastosowali bardzo proste rozumowanie: są malarzami, więc malują. I to coraz lepiej. Z ostatniej wystawy okregowej szereg ich obrazów zakupiło Min. Kultury i Sztuki i Muzeum Narodowe. Zanim poznamy ich bliżej wymienimy ich nazwiska: Michałowski, Kasprzowicz, Kołedkiewicz, Sramkiewicz, Frydrych, Wójcik.

Grupa i to zwartą tworzą „malarze — maryniści”. Czy istnieje jakaś różnica między tymi, którzy malują morze, a takimi, co malują góry albo doliny — nie wiem. Wiem natomiast, że nikt nie mówi malarze wysokogórscy, albo malarze doliniarze. To byłby grubo kawał. Ale nasi maryniści kochają morze i trzeba ten ich sentyment szanować. Tylko czy umieją to wyrazić po malarzku, to znaczy farbą olejną na płótnie.

I tu zaczyna się bolesny rozdział między zamiarem a realizacją. Malarze maryniści chcą malować morze, rybaków, stoczniowców, rudowłogowców, o czym pisze się w gazetach, ale co warte jest także dobrej sztuki. Otóż to: dobrej sztuki, bo nie wystarczy odmienić realizm, kiedy ciapie się kolorem lokalnym i każda plama solna, kiedy zamiast kolorów są farby, a zamiast kompozycji szarpanina. To nie są zarzuty formalisty, ale twarde wymogi uczciwie pojętego rzemiosła.

Gdyby ktoś chciał uspokoić zmęczone poczucie piękna niech szybko zjeździe parę kroków poniżej. W tymże samym Sopocie, przy tej samej ulicy, gdzie robili obóz maryniści otwarto wystawę starych mistrzów. A warto przeżyć i przemyśleć ten kontrast. Dobrzy, mądry mistrzowie Holbein, Rembrandt, Breughel przywracają godność naszym oczom, ratują poczucie ładu, koloru, światła i jego wewnętrznych proporcji. Pokrzepieni idziemy na przechadzkę. Nad morzem (którego naprawdę nie należy malować utramarynia, bo to kłamstwo) — jesień. Miękkie twarda grynszpanowa zieleni drzew. W listwie bu szują żółcie, niedługo rozkrzyczy się cyknober. Wtedy najlepší kolorysty odłożą palety i powiedzą banalnie, że jesień jest piękna, zbyt piękna...

P. S.

Włodzimierz Wnuk, czyli człowiek o gołęmb sercu też pisze listy z Wybrzeża. Ostatnio napisał o teatrze. Napisał to co myślał i to co myślało wielu ludzi na Wybrzeżu. I ni stąd ni zowąd Ci i owi poobrażali się, więc ponieważ niedobrze jest pisać o sprawach Wybrzeża tak jak się myśli, pozwolił Pan, Panie Redaktorze, że się podpiszę tajemniczo.

Patryk

## Pięciolecie śmierci Bolesława Hirszfelda

Dnia 24 października br. przypada 50-lecie śmierci śp. Bolesława Hirszfelda, który całe życie poświęcił oświacie, a którego Żeromski w „Słowie o Bando-sie” nazwał „synem nieśmiertelności”.

Więść o zgonie Jego w Szwajcarii wywołała ogólny żal. Wszystkie pisma warszawskie — bez różnicy opinii — poświęciły Mu wspomnienia.

Bolesław Hirszfeld, będąc zamożnym człowiekiem, nie myślał o swoich potrzebach, Jego majątek szedł na oświatę dla ludu i pomoc materialną dla ludzi niezamożnych. Na czele Komitetu redakcyjnego „Książek dla ludu” stał Mieczysław Brzeziński, ale sprężyna tego ruchu był Bolesław Hirszfeld. Władnictwo często musiało walczyć z brakami materialnymi, które zażęgnął Hirszfeld. Pogrzeb Jego 4 listopada 1909 r. był dowodem, jaką cziłą i miłością był otoczony.

Bolesława Hirszfelda poznałam w Zakopanem, w pensjonacie „Zagórze” w 1897 roku, kiedy przyjechał do Zakopanego, aby nie być w Warszawie w czasie pobytu cesarza Mikołaja II. Znałam my Go dobrze z opowiadań Józefostwa Włoskiewiczów i Stefanostwa Reinów. Ona była siostrzenicą Włoskiewiczowej a on ciotecznym bratem Hirszfelda.

Państwo Beinowie żyli w przyjaźni z Aleksandrostwem Głowackimi (Prusami), którzy często występowali po nich, idąc na spacer, a czasami pozostawali w „Zagórze” na podwieczorku i wtedy przysłuchiwałyśmy się rozmowie o Hirszfeldzie tzn. „Bosiu”. Wtedy Prusowie byli ostatni raz w Zakopanem, gdyż pobyt w górach, wobec choroby przestrzeni, na jaką cierpiał Prus, męczył go.

Prus należał do Komitetu przyjęcia Mikołaja II i dla Hirszfelda była to przykrość, gdyż łączyła go z Prusem serdeczna przyjaźń.

Hirszfeld miał wielką umiejętność podchodzenia do młodzieży. Przez cały swój pobyt w Zakopanem urządzał wyieczki, starał się o przyjemności, ale jednocześnie wykorzystywał każdą chwilę, żeby wzbudzić w młodych pragnienie życia i pracy dla Polski. Był człowiekiem głęboko uczuciowym.

Kiedy w jakimś czasie potem zaczęłam pracować na Podlasiu jako nauczycielka, otrzymałam od Hirszfelda książki do tajnego nauczania.

Na 50-lecie zgonu, należy się Jemu wspomnienie. Cześć dla wielkości i zasługi, to jeden z fundamentów życia narodowego.

Maria Boretti

## Jubileusz pięciolecia

W połowie października nasz świątek kulturalny obchodził uroczystość pięciolecia istnienia Spółdzielni Wydawniczo - Oświatowej „Czytelnik”. Nie jesteśmy pismem, któreby pod adresem „Czytelnika” nie zgłosiło żadnych zastrzeżeń. Różnie tam między nami się układały sprawy. Moglibyśmy zgłosić pretensje, iż w wspaniale prowadzonej akcji „pisarze wśród czytelników”, obecnie rzadko zapraszani są pisarze katolicy, choć przed dwoma laty głównie ich postaciami „Czytelnik” tą akcją zainaugurował. W rejestr pretenzji może należałoby wstawić również i zarzut braku lojalności dyskusyjnej stosowanej przez niektóre pisma „czytelnikowskie”, wobec wypowiedzi prasy katolickiej. Może znalazłby się jeszcze jakiś grzech, jeden, drugi i trzeci, ale... ale wszystkie te pretensje gwołi obiektywizmu zgłoszwszy, musłmy z całą odpowiedzialnością podkreślić nie zwykłą zupełnie zasługę kulturalną, a nawet polityczną i narodową, jaką „Czytelnik” zdobył sobie swą pięcioletnią działalnością, która szczególnie przez pierwsze trzy lata po wojnie nadawała ton naszemu życiu artystycznemu i kulturalnemu.

Rejestr zasług „Czytelnika” jest bardzo obfity. Wypada jednak zacząć od najistotniejszej. W roku 1945 ogólnonarodowa, nie ściśle partyjna, postawa kierownictwa „Czytelnika” ułatwiła prędkie i aktywne przystąpienie do pracy nad odbudową kultury i sztuki przez ważającą liczbę polskich artystów, pisarzy, dziennikarzy i działaczy oświatowo - kulturalnych. Polityka personalna ówczesnego prezesa „Czytelnika” Jerzego Borejszy skupiała w tej organizacji organizatorów najsprawniejszych, pisarzy najlepszych, publicystów najpopularniejszych. Dziś już ocenić możemy, że akcja „Czytelnika” w zasadniczy sposób wpłynęła na rozładowywanie i uspakajanie się napięć politycznych w pierwszych latach po wojnie. Wystarczy tu wymienić działalność Osmańczyka i jego „Sprawy Polaków” ogłaszane przeciw w tygodniku „Czytelnika”. W następnych latach oddziaływanie licznej prasy tej instytucji — było zawsze zgodne z nakazami rozsądku i interesu narodowego. Stąd też jej popularność wśród czytelników, oraz po ważna rola polityczna, jaką ta instytucja odegrała.

„Czytelnikowi” przypadło w udziale pionierski trud odbudowania prasy codziennej i periodycznej, szczególnie ważny na Ziemiach Odzyskanych. Czołówki prasowe „Czytelnika” były tymi pierwszymi nosicielami polskiego słowa drukowanego, jakie dotarły do Wrocławia, czy Szczecina. „Czytelnik” na swym koncie ma szereg pism, posiadających w naszym układzie kulturalnym stanowiska czołowe. „Kuznica” i „Odrodzenie”, które razem z „Tygodnikiem Powszechnym” tworzą czołową trójkę naszego literackiego rydwanu tygodniowego — są wydawane przez „Czytelnika”. Najpopularniejszy magazyn tygodniowy „Przekrój” już czwarty rok dokonywujący trudnej sztuki lawirowania między wysokim poziomem literackim a popularnością u szerokich mas, (choć często z naszego punktu widzenia zgłaszaliśmy rozliczne przeciw niemu zastrzeżenia), najlepszy polski miesięcznik literacki „Twórczość”, prawie dwa miliony nakładu — cyfra zupełnie gigantyczna jak na nasze stosunki — się gająca „Przyjaciółka”, — to wszystko pozycje „Czytelnika”. Wynalazek prenumeraty zleczonej, dzięki któremu o stworzyły się możliwości nasycenia prasą wsi — to zasługa „czytelnikowskiego” „Rolnika Polskiego”. „Odra” zwracająca nasz wzrok na polski Zachód, i jej nagrody literackie (dlaczego w tym roku jakoś opóźnia się ich przyznawanie?) — to też „Czytelnik”.

Pierwsze książki wydał w 1945 r. „Czytelnik”, on zainicjował kluby, on dopinguje życie literackie nagrodą „Odrodzenia”. Większość najcenniejszych pozycji literackich powojennych (oryginałnych i wznowień) zawdzięczamy „Czytelnikowi”. Wreszcie ogromnie szeroko prowadzona akcja audycji autor-skich, zespołów tzw. „Zywego Słowa”, bibliotek ruchomych (szczególnie ważnych dla wsi), miejskich bibliotek obiegowych. „Czytelnik”, jedyny w Polsce, posiada dziś siatkę organizacyjną, zespół sprawnych działaczy i dobrą markę wśród publiczności do organizowania skutecznych akcji o typie oświatowo - kulturalnym.

Nie ma dziś bodaj w kraju człowieka, który by w ten czy inny sposób nie zetknął się z działalnością „Czytelnika”. Rozmach i inicjatywa tej instytucji są w Polsce czynią zupełnie nowym. A sympatia jaką organizacja pieczętująca się kwadratowym znaczkiem potrafiła sobie wśród społeczeństwa zdobyć — całego społeczeństwa, gdyż poszczególne torami swej pracy „Czytelnik” potrafił dojechać wszędzie — są najlepszym dowodem słuszności tej linii rozwojowej i organizacyjnej jaką była udziałem „Czytelnika”.

## Sprawy niemieckie

Wydarzenia z areny polityki międzynarodowej zwróciły znowu uwagę polskiej opinii na niemieckie sprawy kulturalne. Ostatecznie wielkim absurdem jest żyć w sąsiedztwie jakiegoś narodu i — choćby na czas krótki — przy nymać policy na to co się dzieje, zarówno w polityce i przemyśle, jak w kulturze. My zresztą, pod tym względem, mamy obyczaje i przyzwyczajenia zgoła fatalne. Wystarczy przypomnieć, że po uzyskaniu Niepodległości w 1918 roku w szkołach przestaliśmy uczyć języka rosyjskiego, mimo iż jest to język naszego najpotężniejszego sąsiada. Obecnie, w latach powojennych, powtarza my ten sam grzech odnośnie niemieczyny. Ze szkół zniknął język niemiecki, jakbyśmy tym narodowym dąsem zniechęcić mogli geografii i politykę. Jedyna „Odra” przez kilka lat uparcie prowadziła rubrykę, informującą o wydarzeniach zachodzących w Niemczech. Dla czego Wysz przesłał to robić? Czyż nie to również miesięcznik „Przegląd Zachodni”, którego zasięg rozchodzenia się jest jednak nader szczupły. Czyż nie zakrawa na dziwną zabawę w chowanego fakt, że przez pięć powojennych lat czytelnik Polki, prócz reportaży gazetowych, otrzymał tylko jedną jedyną książkę — i to słabą, gdyż właśnie z gazetowych fragmentów sklejona — o Niemczech współczesnych (Podkowińskiego). Nasi najlepsi reporterzy (sam Osmańczyk nie może wystarczyć) siedzą albo na szerokim świecie, albo w Polsce, podczas gdy oni wszyscy powinni znajdować się w Niemczech, podczas gdy winniśmy mieć już obecnie conajmniej kilkanaście książek zawierających opis tego co działo się w Niemczech na przestrzeni lat czterech. Gdy w innych językach europejskich ukazywały się dzieła tłumaczone z niemieckiego (Anny Seghers, Pliviera itp.) — my zgłaszaliśmy obojętne desinteresment. W rezultacie — dopiero przed miesiącem ukazała się pierwsza powojenna niemiecka powieść języku polskim, i to ukazała się w klubie, a więc chwilowo niedostępna ogółowi. Myślę o świetnej powieści Anny Seghers „Umarli pozostają młodzi”.

Przyczym wypada stwierdzić, że po dzień dzisiejszy nie posiadamy najwybitniejszej sławnej na całym świecie książki tej pisarki — „Siódmeo Krzyża”. Gdy w Niemczech drukują przekłady opowiadań Andrzejewskiego, co doprowadziło do nader znamiennej wymiany listów między polskim pisarzem a pewną niemiecką czytelniczką panią Hildegardą Peine, w którym to liście Andrzejewski odparując zarzuty, iż zbyt wiele narodowych

skutecznych akcji o typie oświatowo - kulturalnym.

Nie ma dziś bodaj w kraju człowieka, który by w ten czy inny sposób nie zetknął się z działalnością „Czytelnika”. Rozmach i inicjatywa tej instytucji są w Polsce czynią zupełnie nowym. A sympatia jaką organizacja pieczętująca się kwadratowym znaczkiem potrafiła sobie wśród społeczeństwa zdobyć — całego społeczeństwa, gdyż poszczególne torami swej pracy „Czytelnik” potrafił dojechać wszędzie — są najlepszym dowodem słuszności tej linii rozwojowej i organizacyjnej jaką była udziałem „Czytelnika”.

Konkluzja ostatnich tygodni jest raczej smutna. Nic nie wiemy o Niemczech współczesnych. Artykuły Podkowińskiego czy Osmańczyka — to fragmenty, podczas gdy potrzebne nam są wyczerpujące, lecz równocześnie frapujące literacko, tak zwane „wielkie reportaże”, któreby nas nauczyły nowych Niemiec i ich powiklanej problematyki.

### TEATR NARODOWY

12 października otwarto w Warszawie odbudowany przez WP. Teatr Narodowy. Stanie się on bazą trzech zespołów teatralnych: stałego pod dyr. Krasnowieckiego, objazdowego pod dyr. Chaberskiego i zespołu baletowego Domin Wojska Polskiego.

Inauguracja teatralna nastąpi za kilka tygodni.

### WNIOSEK PARANDOWSKIEGO

Dziwnie bez echa minął u nas kolejny zjazd PEN-Clubów w Wenecji, choć na nim była obecna wcale liczna reprezentacja polska. Prasa nasza — ta z którą związani byli reprezentanci udający się na PEN — nie raczyła nawet podać wyników obrad weneckich, choć przecież nader interesującym byłoby do wiedzieć się, jak przyjęto wniosek Parandowskiego Jana. Wystąpienie Parandowskiego było w ogóle dość oryginalne jak na tego pisarza, wystąpił on publicznie z niezwykle namiętnym oskarżeniem, co nie leży w jego temperamencie, pisarzy światowych o niedość skuteczne popieranie swą twórczością akcji pokojowej. Oskarzył twórców, iż ograniczają się do manifestacji raczej politycznych i ideowych aniżeli do propagowania idei pokoju w swych dziełach literackich. Ponadto Parandowski zgłosił wniosek następujący: „XXI Kongres PEN-Clubów uchwała ustano-wić nagrodę literacką PEN za najwybitniejsze dzieło matchmone ideą pokoju i braterstwa ludów”. Nagroda ta przyznawana corocznie, miała by być wyłącznie honorową, bezpieniężną. Jak! los spotkał wniosek Jana Parandowskiego?

## Popierajcie

Katolicki Uniwersytet Lubelski



# Czytelnik uważa, że...

**W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia społecznego, politycznego, społecznego, gospodarstwa i kulturalnego. Chocby odbiegające od stanowiska redakcji. Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.**

## REWELACJE O POWIEŚCI

Nie odważyłbym się nigdy zabrać głosu w sprawie odkrywczej noty p. Zbigniewa Klika („Dziś i Jutro”, nr 202), nawiązującej do ankiety „Tygodnika Powszechnego” o powieści, gdyby mi sam autor na to nie udzielił pozwolenia w zakończeniu swego elaboratu, gdzie napisał wyrozumiale: „Jeśli się z nimi nie zgadzacie, to możecie je atakować”. Chodzi tu oczywiście o cenę wywoły p. Klika. Korzystając więc z łaskawie pozostawionej możliwości — spróbuję zastanowić się pokrótce nad niezwykle brzemionnymi w odkrycia uwagami jego o powieści.

Primo: p. KLIK trudnymi do wyśledzenia drogami doszedł do wniosku, że „bardzo wielu ludzi traktuje powieść... jako ucieczkę od życia, jako stworzenie sobie namiastki życia”. Abstrahując od tego, że określenie „wielu” jest bardzo względne i empirycznie niesprawdzalne (a kwestia dotyczy ankiety, powinna więc być ściślej sprecyzowana, wymierna liczbowo), — trzeba stwierdzić, że tendencje czytelników powieści, o jakich to p. KLIK mówi, nie dają się w ankiecie odczytać. Była tam mowa o „dopelnieniu życia” i o jego „ekstrakte”. — ale w jakże inny sposób! Dla przykładu przytoczę dwa zdania: „Każdy z nas ma tylko jedno życie o pewnym ograniczonym zakresie przeżyć, to dla nas za mało, więc szukamy ich w powieściach”. „Czytam, żeby się dowiedzieć, że nie sama tak przeżywam rzeczywistość”. Zdania te dowodzą, że czytelnicy nie dla rozrywki, „oderwania od życia”, ale właśnie dla jego dokładniejszego poznania czytają powieść. P. KLIK nie przejawia tu zrozumienia ich lapidarnych przecieży zdań, — czy też może świadomie je zdeformował? W żadnym jednak wypadku, nie była to deformacja artystyczna.

Secundo: sprawa „ekstraktowości” powieści, którą p. KLIK następnie analizuje, postawiona jest przez niego zupełnie błędnie. Wypływa to zresztą logicznie z mylnego założenia autora noty, które powyżej obaliliśmy. Żaden produkt kultury, czy ścisłej sztuki, nie obejmuje całości życia, wszystkich absolutnie jego zagadnień, — nie mówiąc

już o przejawach. Zarówno poezja jak i powieść jest ekstraktem doznań ludzkich (w tym tkwi istota ideowości sztuki), — tylko już około dziesiątego roku życia normalnie rozwijający się człowiek pojmuje, że śródką ekspresji w obu tych gatunkach literackich są różne. I dlatego nie ma mowy o tym, jakoby ekstrakt życia miał być jego zafałszowaniem, co wcale niedawnym usiłuje nam zasugerować p. KLIK.

Już Norwid powiedział:  
„Bo prawdą sztuki największą jest  
może  
Odsunąć przypadkowe, wyświecić, co  
Boże”  
(„Aktor”)

Zrozumieli to czytelnicy powieści z ankiety Gołubiewa, szukający w powieści prawdy o człowieku, — nie zrozumieli niestety p. KLIK — i dlatego wystąpienie jego nie jest w stanie nikogo przekonać.

Nie uszyliśmy od p. Klika ani słowa o postawie pisarza wobec tworzywa, dzieła sztuki i czytelnika. Usłyszeliśmy natomiast serię zastanawiających strzałów, skierowanych w rodzaj literacki, który pochłubić się może nieśmiertelnymi osiągnięciami. Może i rzeczywiście Dostojewski, Conrad, Balzac, Galsworthy, Tolstoj, Mann czy Undset działają na kogoś jak narkotyk, — na niektórych działają też i nasenne, a w takich wypadkach nie trudno o majaczenia.

W zakończeniu pokuszę się jeszcze o powiadomienie p. Klika o pożytecznym wydawnictwie M. Arcta „Słownik wyrazów obcych”, które może być Mu przydatne przy próbach zastąpienia powieści essay'em literackim, wyjaśnia bowiem przystępnie szereg terminów. Jak bardzo jest pożyteczne świadczy najlepiej fakt, że asekuruje doskonale od potknięć i pomyłek terminologicznych. Polecam je Panu z całego serca.

Wacław Sadowski

## KTO CHODZI NA GŁOWIE?

Kilka tygodni temu J. T. w rubryce „Bez Ogródek”, „Tygodnika Powszechnego” zaatakował mój artykuł pt. „Kto

winien”, zamieszczony w „Słowie Powszechnym”, który rozważał pewne zasadnicze zagadnienia sztuki kościelnej.

J. T. uznał mój artykuł za wybitnie szkodliwy, ponieważ, jak się wyraził, stawia on sprawę na głowie, co ma być, według niego, moim stałym obyczajem. Dlaczego w atakowanym artykule staje na głowie? Dlatego, że kwestionuję obiektywny sąd o dziele sztuki, a w ten sposób dopuszczam do kościołów lichotę.

Zastanawiam się nad zagadnieniem, kto w rzeczywistości jest tym cyrkowcem, który chodzi na głowie: ja, czy p. J. T.? Człowiek, chodzący normalnie, tj. na nogach, ma wielką przewagę nad akrobatą, stojącym na głowie. Wystarczy mu dotknąć go jednym palcem, żeby go obalił. Czy J. T. mnie obalił?

Otóż każdy estetyk, to jest filozof, zajmujący się zagadnieniem piękna, odpowie p. J. T., że nie ma sądu obiektywnego w sztuce. Bo, jeśli jest, to kto go uosabia? Gdzie jest stolica autorytetu estetycznego? Czy uosabia go p. J. T.? Jeśli nawet i tak jest, to chyba nie ma on pretensji do nieomylności. A tylko nieomylna powaga, jaką w rzeczach wiary i moralności ma papież, może być uznana za sąd obiektywny. Estetyka takiej powagi nie posiada. Nie ma papieża estetyki. Każdy jest sam sobie papieżem w tej dziedzinie. Istnieją wprawdzie pewne mody estetyczne, prądy, opinie, różne w różnych stronach i różnych epokach, ale jest to tylko gust, narzucony chwilowo przez jednostki. Obiektywny sąd w sztuce można pojmować tylko jako wyliczenie i pokazanie tych gustów. Ale, że gusty nie są est. disputandum. Tej zasady bronilem. Kto więc stoi na głowie? Ja, czy p. J. T.?

Smieszna pretensja. J. T. uzurpuje sobie prawo do stanowienia o obrazach i rzeźbach, jakie mają być w kościołach. Proboszcz nie ma gustu, lud wierzy nie ma gustu, tylko ma go p. J. T. Jeden gust jest wart drugiego. Ale parafianie mają prawo mieć to, co im się podoba.

Potrzebni są święci artyści, znający ducha liturgii, kochający Boga, sięgający po wzory do epok najświeższej wiary, do sztuki bizantyjskiej, wczesno-włoskiej, średniowiecznej, ludowej. Ci mogą zmieniać sztukę w Kościele przez danie własnej natchnionej twórczości, ale tylko ci. Znam jedną artystkę, która właśnie tak poważnie bierze się do rzeczy. Ale gusty publicystów, oparte o sztukę schyłkową XIX i formalistyczną XX wieku, są bezwartościowe dla wielkiej, poważnej, godnej, ludzkiej sztuki kościelnej.

Zygmunt Jakimiak

## A JEDNAK ZA OSTRO...

W ciekawym artykule pt. „Przegraliśmy z Bulgarią” („Słowo Powszechno” z dn. 10.X br.) porusza pan Stanisław Zyglis ważne zagadnienie zachowania się publiczności na meczu „Bulgaria — Polska”. Bez wątpliwości piętnuje autor „chamstwo i rozwydrzenie kibiców sportowych”. Dodam jeszcze, że oprócz ogryzków i jabłek na boisko upadła... butelka, która mogła stać się przyczyną kalectwa zawodników.

Oburzenie pana St. Zyglicha jest słuszne.

Ale jest jedno „ale”.

Otóż autor zbyt ogólnie ujmuje zagadnienie. Potępić należy bezwzględnie tę nieliczną część publiczności, która zachowywała się niesportowo. Ale nie można za wybryki „chuliganowskich grup” widzów stanowiących na szczęście znikomą liczbę w stosunku do całej widowni. („Przegląd Sportowy” nr 80) winić całą publiczność.

Uczynilibyśmy bowiem tej publiczności krzywdę. Podkreślam jeszcze raz: nie bronie publiczności, która ciskała na boisko jabłka czy ogryzki, ale uważam, że nie wolno uogólniać naszego pojęcia. Na meczu było ponad 40.000 widzów, a na boisko spadło kilka jabłek.

Idźmy dalej: autor zarzuca publiczności, że nie zdobyła się na „obiektywny stosunek do wyczynów sportowych”, podając jako przykład „ponure milczenie”, jakie zapadło na widowni po dobieciu wolnego przez Spasowa.

Primo: strzał Spasowa nie był specjalnym majstersztykiem piłkarskim, secundo: bramka ta miała zaczynać — wg. powszechnego mniemania — serię strzałów na naszą bramkę.

Nie więc dziwnego, że publiczność była przygnębiona. Wkraczamy tutaj w zagadnienie tzw. „własnej publiczności”. Otóż ta własna publiczność ma dla sportowców b. ważne znaczenie. Jest ona handicap'em dla swych zawodników, czy dla swej drużyny. Bierzemy czynny udział w walce swych pupiłków, smucąc się ich porażkami i radując się zwycięstwami, potrafi zmusić często zawodników osłabionych walką do wydania z siebie maksimum wysiłku sportowego. Jest często w dużej mierze współautorką zwycięstw.

I to nie jest szowinizmem.

Pamiętajmy, że publiczność bierze również udział w grze i to często bardzo żywy udział. Walka sportowa jest przeżyciem nie tylko dla jej uczestników, ale również dla publiczności, tak jak sztuka teatralna jest przeżyciem nie tylko dla aktora, ale i dla widzów.

Publiczność ma prawo cieszyć się, smuć się, a więc musi mieć również prawo oburzać się.

Na co.

Przystępujemy do najważniejszego punktu zagadnienia. Pan St. Z. pisze: „Sędzia wogóle nie miał racji, że w jednej ze swoich decyzji” — a dalej — „Sędzia Janczew mógł się omylić, choć moim zdaniem, w tym wypadku miał rację”.

Nie chodzi o to, czy miał rację w danym wypadku, chodzi o to, że nie miał racji i w wielu innych wypadkach.

Otóż, jeśli na boisku ktoś powinien zdobyć się na obiektywny stosunek do wyczynów sportowych — to tym kimś powinien być przede wszystkim sędzia. Sędzia jest tym, który trzyma w swoich rękach losy meczu i zachowanie się

publiczności. Jest to może paradoksalne twierdzenie, ale bezwzględnie słuszne, czego najlepszym dowodem są przykłady.

Publiczność umie zdobyć się na uznanie również i dla sędziego, czego wyrazem jest aplauz, jakim darzyła publiczność czeskiego sędziego Niemcowskiego w pamiętnym dla nas meczu z Danią. Sprawa sędziów jest zresztą łączką innych również galezi sportu, np. w boksie zdarzały się jawne świadome pokrzywdzenia zawodników przez sędziów nawet na... Olimpiadzie. Nie więc dziwnego, że publiczność wyraża swoje niezadowolenie gwizdami i krzykami, bo przepraszać bardzo jak miała inaczej wyrażać.

To, że sędzia Kamaras uznał naszą publiczność za „względnie spokojną” świadczy niewątpliwie, że publiczność innych krajów również żywiołowo bierze udział w meczu.

Sędzia Janczew zabrał ze sobą tabliczkę rzuconą przez jakiegoś wyrzutek spośród widzów, ale zostawił po sobie przykre wrażenie u 40 tys. publiczności, że nie stanął na wysokości zadania. To są sprawy niemiłe, ale trzeba je odważnie powiedzieć. Reasumując swoje uwagi, stwierdzam, że p. St. Z. zbyt ostro potraktował zagadnienie, że trochę skrzywdził publiczność i „Przegląd Sportowy”, który zawsze polecał tego rodzaju wybryki.

Natomiast godny całkowitego poparcia jest apel autora o wychowanie publiczności i o wychowanie młodzieży w duchu sportowym. Słusznie wyzywa do tego szkołę, prasę, i (dodam od siebie) radio i film. Muszą złączyć wszyscy wszystkie wysiłki ku temu, aby nasz widz biorąc udział w szlachetnej walce sportowej nie wykraczał poza ramy sportu i dobrego wychowania.

Włodzimierz Michalski

## Analfabetyzm, kancjonał i „Mury Jerycha”

(Dokończenie ze strony 7-mej)

Tego rodzaju wydawnictw za brakło. Przez to nie wykorzystana została możliwość użycia i tego pomostu w pracy repolonizacyjnej.

Problem awansu kulturalnego Mazurów jest bardziej złożony i trudny niż ludności napływowej. Trudny między innymi i dlatego, że skutkiem niedawnych jeszcze, a nawet, jak to próbowałem naświetlić w poprzednim artykule, i obecnie istniejących wzajemnych niechęci między grupami ludnościowymi na Mazurach, ludność rodzima żyje w dosyć silnej separacji psychicznej od reszty mieszkańców. Tu trzeba ciągle jeszcze nie tylko podciągnąć kulralnie, ale i przybliżyć polskości. Niemniej, o ile przed paru laty pewna rozdzielnosc w traktowaniu tych spraw w stosunku do repatriantów i osadników a autochtonów była wskazana, dziś zasadniczo nie powinna ona mieć miejsca. Dlatego, że przedtem miało to służyć przyspieszeniu procesu repolonizacyjnego. Obecnie problem ten, acz kosztem większych może ofiar i wysiłku, jest już w podstawowych zrzębach rozwiązany i wracanie doń byłoby wywalaniem otwartych drzwi, jeżeli na wet przypadkiem i nie ich zamknięciem.

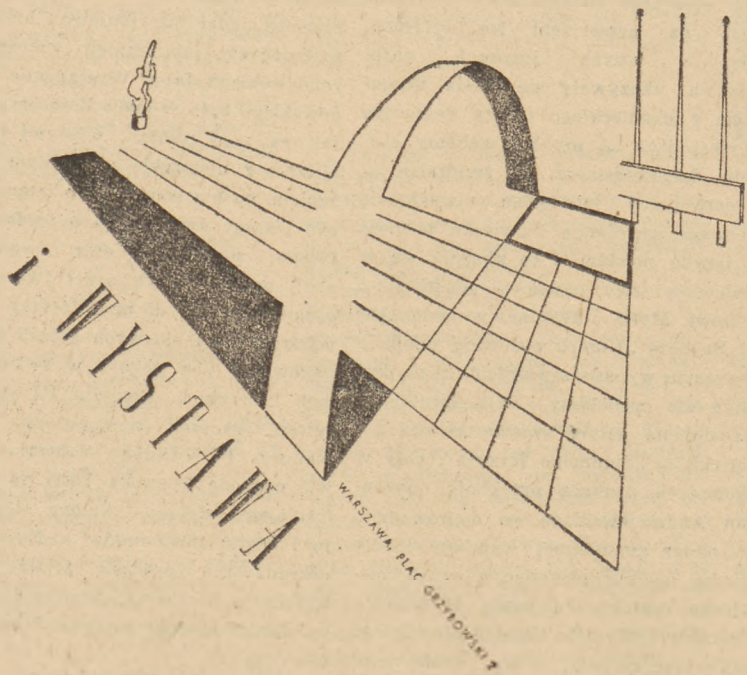
Rozpocząłem od zacytowania pewnych przykładów całkowitego ugoru kulturalnego (analfabetyzm), wskazując na konieczność pracy równoległej na kilku poziomach. Gdy bowiem jednych trzeba dopiero w ogóle jeszcze

uczyć czytania, innych trzeba już uczyć czytania gazet, a jeszcze innych książki. To są etapy nie zawsze może zbyt jasno widoczne, ale bardzo głębokie i konieczne do uwzględnienia.

Wieś mazurska wymaga ciągle jeszcze rozszerzenia sieci szkół podstawowych dla objęcia nimi poza całą młodzieżą także i dorosłych. Wymaga, może tak pilnie jak nigdzie indziej, uruchomienia gestej sieci świetlic wiejskich, bibliotek, nie tylko już gminnych ale bodaj że i gromadnych, wymaga nateżenia słowa mówionego. A przy tym wszystkim i w związku z tym wszystkim jeszcze jednego — uświadomienia sobie w pełni przez lokalnych działaczy kulturalnych poziomu intelektualnego terenu i dostosowania do tego poziomu tego, z czym się tam w dziedzinie kultury przychodzi. Bardzo wysoko cenię np. osoby cie talent Brezy, Nalkowskiej czy Adolfa Rudnickiego, ale zlitujcie się, — panowie od spraw kultury na głuchej, wiejskiej prowincji mazurskiej, — nie wkładajcie w komplety wiejskich biblioteczek obiegowych „Murów Jerycha”, „Charakterów” czy „Szekspira”. Jeśli chłop sięgnie może wreszcie po książkę i dostanie jakąś podobną wyżej wymienionym, to możecie być spokojni, że nie przedko zechce mu się wyciągnąć rękę po następną.

Umiar i rozsądek oraz poczucie rzeczywistości potrzebne są „nawet” w pracy na niwie kultury...  
Eugeniusz Paukszta

## WNETRZE



Redagują: Bolesław Pasecki, Dominik Horodyński, Andrzej Micewski

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; I p. Konto PKO — Nr 1-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz poniedziałków i piątków, godz. 12 — 13.

Druk. Skolimowska 5.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Prenumerata miesięczna 30 złotych, kwartalna 180 złotych.